POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień · ***Dnia 23-go września 1944r.*** · **Rok VI. Nr. 38**

"TU BIJE SERCE POLSKI..."

W dzień imienin Króla, 8 maja 1791 r., Warszawa tonęła w światłach, dając wyraz uczuciom radości, wywołanym uchwaloną dnia 3 maja konstytucją.

Zrodziła się konstytucja z ducha Warszawy, który wytworzył i narzucił sejmowi odpowiednią atmosferę. Ten wpływ stolicy na opinię publiczną wystąpił z siłą zaraz po pierwszym rozbiorze w r. 1772. W Warszawie propagowano rozwój nauk i kultury, wydając wojnę ciemnocie i zabobonom. Tu zrodziły się hasła gospodarczego podźwignięcia kraju i jego uprzemysłowienia. Warszawa wystąpiła także z mocnym żądaniem reform społecznych i politycznych. Tu wydawano pamflety, broszury, pisma, nawołujące do zmian. Tu wystąpiono w obronie człowieka i równości praw, podniesiono sprawę miejską i wiejską.

Ten żywy strumień, przewijający się poprzez Kuźnię Kołłątajowską, Komisję Edukacji Narodowej, Obiady Czwartkowe u króla Stanisława Augusta, organizację wielkich domów bankowych Teppera czy Potockiego, budowę Łazienek, Frascati i t.p., pociągnął za sobą cały kraj i nakazał tworzenie nowych form życia.

Nie cofała się Warszawa i przed rzuceniem groźby sferom kierowniczym. Taką właśnie groźbą, która wywarła ogromne znaczenie, była słynna "czarna procesja" mieszczan warszawskich z prezydentem Dekertem na czele, zapowiadająca rewolucję, jeśli sejm nie podejmie haseł wysuniętych przez stolicę.

W ogniu tych namiętnych poczynań i dyskusyj, sejm czteroletni uchwalił reformy majowe. Wejście ich w życie, a więc zapoczątkowanie nowej jasnej ery Rzeczypospolitej, świętowane było uroczyście przez ludność Warszawy, świadcząc, iż przyjęła je gorąco i stać będzie na ich straży.

Obca przemoc wojskowa przekreśliła ustawę majową, nie zdołała jej jednak wydrzeć z duszy Warszawy.

"ŚWIĘTA RESUREKCJA"

Z powstającym brzaskiem Wielkiego Czwartku, dnia 18 kwietnia 1794 r., z Koszar Mirowskich wyszedł oddział polskich dragonów i uderzył na placówkę rosyjską. Było to hasłem zbrojnego powstania Stolicy w odpowiedzi na krakowski akt Kościuszki z 24 marca.

Powstanie Warszawy nie przedstawiało niespodzianki. Szerokie rzesze ludności nie pogodziły się ani przez chwilę z utratą konstytucji 3 maja i obcym garnizonem. Rzemieślnik, inteligent czy subiekt warszawski z napięciem oczekiwał hasła walki z tymi, którzy odebrali jego Ojczyźnie niepodległość, a jemu wolność. Na tle tych nastrojów działało w Stolicy tajne sprzysiężenie rewolucyjne, na którego czele stali przedstawiciele wszystkich warstw.

Walki ludu i warszawskiego polskiego garnizonu trwały trzy dni i zostały uwieńczone zwycięstwem, okupionym jednak dużymi ofiarami. Zginęło 10% żołnierzy polskiego garnizonu i około 1000 /na 100.000 mieszkańców/ ludności cywilnej.

W Niedzielę Wielkanocną Warszawa wolna była od obcej przemocy, łączyła się z wolnym Krakowem, by niebawem po zaciętych walkach, w których piąta część mieszkańców brała udział z bronią w ręku, chlubnie przetrwać i przerwać oblężenie rosyjsko-pruskie. Niedługo jednak cieszyła się wolnością. Po klęsce Kościuszki pod Maciejowicami nieprzyjaciel uderzył powtórnie na Warszawę, zwycięstwo swe znacząc okrutną "rzezią Pragi".

NOC LISTOPADOWA

Beztroska na pozór Warszawa Królestwa Kongresowego nie zapomniała swych idealnych porywów i nie pogodziła się z rządami rosyjskiego cara oraz przejawami politycznej reakcji. Na Starym Mieście oddychało się atmosferą głębokich uczuć narodowych. Stare Miasto tęskniło do wolności i z całego serca nienawidziło okupantów. W kawiarniach zaś na ulicy Miodowej, grupujących studentów i młodą inteligencję, tworzono koncepcje walki z carem i rodzimą reakcją, rzucano pomysły i idee nowej Polski, wolnej od carskiej przemocy, lecz wolnej i od "własnego ucisku", Polski szerokich rzesz narodu.

Idee z ulicy Miodowej szybko przenikały na Stare Miasto, otrzymując silne podmurowanie w postawie warszawskiego ludu. Na Starym Mieście, Rybakach, Miodowej i Krakowskim Przedmieściu przesuwała się wizja Niepodległej, Wolnej i Demokratycznej Polski, pełna idealizmu, szerokiego tchnienia, rozległych widnokręgów, a nade wszystko bezinteresownej ofiarności i zapału.

Z atmosfery Starego Miasta wyrosło sprzysiężenie Szkoły Podchorążych z Alei Ujazdowskiej. Spisek Podchorążych wszedł w łączność z młodymi oficerami warszawskiego garnizonu i nawiązał nici porozumienia z kołami studenckimi i młodą inteligencją, które nadały mu rozmach ideologiczny.

Tęsknoty i pragnienia Warszawy przybierają kształt rzeczywisty w godzinach wieczornych 29 listopada 1830 r. Podchorążowie uderzają na koszary gwardii rosyjskiej, następnie przebiegają ulice wzywając ludność do broni. Na Starym Mieście cywilni uczestnicy sprzysiężenia porywają lud do walki.

Z pomocą rzemieślnikom i robotnikom warszawskim przyszedł batalion pułku "Dzieci Warszawy" od dowództwem, młodego kapitana. "Dzieci Warszawy" przebiły się na Długą i zdobyły Arsenał. Ludność Stolicy otrzymała broń i szeroką falą rozlała się po ulicach, decydując o zwycięstwie powstania.

Warszawa pociągnęła za sobą całe Królestwo — Kraj stanął w ogniu walki.

Na dziejach powstania silnie się uwydatnia wpływ Warszawy. Stolica stale popierała te czynniki, które reprezentowały rozmach i ideowość, a zwalczała zmurszałe formy i opieszałość. Ona to wymogła na sejmie — tłumnie demonstrując na ulicach — detronizację cara, jak przedtem zmusiła do usunięcia z rządu ludzi, unikających zerwania z Rosją. Ona udzieliła poparcia gen. Prądzyńskiemu w jego śmiałych pomysłach prowadzenia wojny. Na jej żądanie pozbawiono dowództwa opieszałego gen. Skrzyneckiego. Ona wreszcie nie cofnęła się i przed rozruchami, by przeszkodzić reakcyjnym intrygom kliki wyższych oficerów. A gdy nieprzyjaciel oblegał miasto, lud warszawski mężnie walczył na szańcach.

"REWOLUCJA MORALNA"

Klęska ruchu listopadowego pociągnęła za sobą zniesienie pozornej niezależności Królestwa i oddaliła od Warszawy wcielenie ideałów, za które jej ludność ofiarnie przelewała krew. Ucisk carski wzrastał z dnia na dzień.

Reakcją na ten stan rzeczy był ogarniający Kraj swoisty mesjanizm, uzewnętrzniający gorącą chęć zmian, tęsknotę do niepodległości i gotowość do najdalej idących poświęceń, by wcielić w życie ideał wolnej Polski.

Tą atmosferą mesjanizmu na wskroś przesiąknięta była inteligencja Warszawy, czarowi jej uległ i lud warszawski. Na jej tle też rozwijają się w Warszawie od końca piątego dziesiątka lat tajne koła młodzieży inteligenckiej i robotniczej. Podjęły one jednocześnie wielkie hasła reform społecznych i politycznych, pozostawione w spadku przez tragiczny spisek warszawski lat czterdziestych ze Świętego Krzyża, będący w przymierzu z ideowym ruchem "Młodej Europy", przewodzonej przez Mazzini'ego. Warszawskie koła spiskowe zainicjowały manifestacje religijno-patriotyczne, w których wzięła udział cała pracująca Warszawa. Były to wyjątkowe demonstracje polityczne: uczestnicy żarliwie oddawali się modłom i śpiewom patriotycznym, nie zważając na kule i bagnety rosyjskich żołnierzy. Padały w nich liczne ofiary — jednak umacniały one tylko ducha stolicy.

Dokonały te manifestacje całkowitego przeobrażenia duszy ludności warszawskiej: uczyły bezinteresownej ofiarności, wydobywały moc z cierpień. Stąd też okres ten nawet Rosjanie zwali "rewolucją moralną".

Fala demonstracyj rozlała się za Warszawą po całym Kraju. Uzewnętrzniając miłość do Boga i Ojczyzny oraz siłę płynącą z ofiar, manifestacje narzuciły ogółowi ideologię niepodległościową i demokratyczną, opartą na nauce Chrystusa.

"Rewolucja moralna" stworzyła warunki, umożliwiające ofiarny zryw styczniowy 1863 r.

REWOLUCYJNY NACZELNIK MIASTA STOŁECZNEGO WARSZAWA

W Hotelu Polskim na Długiej, w Europejskim na Placu Saskim, w Kawiarni pod Filarami, u "Andzi" na Placu Teatralnym, w prywatnych mieszkaniach na Marszałkowskiej i Wspólnej przewódcy tajnych kół spiskowych przygotowywali ruch zbrojny o niepodległość. Organizowano przede wszystkim Warszawę, która miała być ośrodkiem ruchu i jego główną ostoją.

Powstanie rozpoczęto nakazanym z Warszawy napadem na prowincjonalne garnizony rosyjskie w noc z 22 na 23 stycznia 1863 r.

Warszawa nadawała powstaniu styczniowemu piętno przemożne. Posiadała też wyjątkowo potężną organizację rewolucyjną, zwaną "miejską", na czele której stał naczelnik m. st. Warszawa, sprawujący swą władzę z ramienia i w imieniu Rządu Narodowego. Naczelnik miasta regulował całe życie Stolicy przez szeroko rozgałęzioną tajną organizację, w skład której wchodziła administracja, organizacja wojenna, policja, żandarmeria i Rada Główna Opiekuńcza. Rewolucyjna Warszawa żyła własnym życiem, posiadała też własną prasę, wielokrotnie liczniejszą od prasy legalnej.

Rewolucyjna Organizacja Warszawy o 160.000 ludności liczyła 2.000 funkcjonariuszy. Składali się oni w dwóch trzecich z rzemieślników i robotników, w jednej trzeciej z inteligencji. Nic się nie działo w Warszawie bez jej woli i wiedzy. Jej Naczelnik musiał wykazywać charakter, wolę i rzutkość, a przede wszystkim zdawać sobie sprawę, że "to co głosimy nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciem tak stałym i niezłomnym, że za nie w każdej chwili życie dać jesteśmy gotowi i co dzień je narażamy".

Wkroczenie żandarmów rosyjskich na ulicę Smolną i aresztowanie Traugutta kładzie kres Rządowi Narodowemu. Śmierć Dyktatora znaczyła upadek ruchu w całym Kraju. W parę tygodni potem zginął na szubienicy i ostatni Naczelnik Warszawy młodziutki Aleksander Waszkowski, a wraz z nim przestała istnieć i Miejska Organizacja Powstańcza.

W CIENIU CYTADELI

Po upadku powstania styczniowego Warszawa spadła do rzędu stolicy "Priwiślańskiego Kraju". Uginała się pod ciężkim brzemieniem najskrajniejszego absolutyzmu, opartego na bezprawiach, przedajnej policji, okrutnym wojsku, więzieniach, Sybirze i szubienicy.

Ludność Stolicy nie zapomniała jednak o swych ideałach. Już w ósmym dziesiątku lat przeszłego stulecia rozwija w Warszawie działalność tajna organizacja "Proletariat" z Waryńskim na czele, która wysuwa ideały wolności i socjalizmu. Od 1892 r. serce pracującej Warszawy pozyskuje stopniowo Polska Partia Socjalistyczna, która rozwija co raz bardziej natężoną działalność.

Wojna rosyjsko-japońska obudziła nadzieje Warszawy. Podjęła ona otwarcie walkę z caratem i pociągnęła za sobą całe Królestwo. Ośrodkiem tego ruchu była sześciotysięczna Organizacja Bojowa P.P.S., która stała się awangardą rewolucji Królestwa. Było to powstanie narodowe a jednocześnie i rewolucja społeczna, z celem wywalczenia niepodległej, demokratycznej Polski świata pracy. Po krwawej robotniczej manifestacji na Placu Grzybowskim nastąpiły zbrojne wypady i zamachy na wojsko i policję carską.

Ten ruch rewolucyjny w Warszawie w latach 1904 — 1907, któremu towarzyszyły ruchy w całym Kraju, okupiony licznymi ofiarami w szeregach robotniczej Warszawy, znaczony tak promiennymi bohaterami jak Montwiłł, Mirecki, Baron czy Okrzeja, choć został zgnieciony przez przemożne siły caratu, posiadał doniosłe znaczenie: utorował drogę dalszym usiłowaniom nad wyzwoleniem Kraju i budową sprawiedliwego ładu społeczno-politycznego.

WYZWOLENIE

Walka toczona w imię niepodległości i walki z caratem nie ustała na chwilę, gdy Warszawę okupowały od 1915 r. wojska niemieckie. Bierny opór obok czynnych zbrojnych wystąpień organizowanych przez P.P.S. znamionował okres rządów niemieckich w Warszawie. W 1917 r. P.P.S. sekunduje tajna organizacja wojskowa.

11 listopada 1918 r. stał się wyrazem nieugiętych nastrojów Stolicy. Polska Organizacja Wojskowa i Polska Partia Socjalistyczna pociągnęły za sobą całą ludność do walki przeciw okupantowi. Warszawa rozbroiła wojsko niemieckie, zapoczątkowując dzieje Polski Odrodzonej.

Imponująca wystawa pod nazwą "WARSZAWA: WCZORAJ — DZIŚ — JUTRO", otwarta przez prezydenta Starzyńskiego w 1938 r. w nowowybudowanym staraniem miasta wspaniałym gmachu Muzeum Narodowego, odzwierciadlała wymownie rolę Warszawy w Polsce Odrodzonej, jej znaczenie i rozmach. Dawała obraz wielkości Stolicy w czasach dawnych i centralne znaczenie w bieżącym życiu Rzeczypospolitej. Obrazowała wspaniałe wyniki na polu rozwoju finansowego, gospodarczego, kulturalnego i artystycznego oraz uwydatniała wysoki moral mieszkańców. Odsłaniała i wielkie plany na przyszłość.

Ta wizja niedalekiej przyszłości Warszawy przekreślona została przez zdradziecki napad niemiecki na Polskę.

OBRONA WARSZAWY

Z niepokojem i trwogą śledziła Warszawa przebieg pierwszych dni wojny polsko-niemieckiej.

Trwoga ogarniająca Stolicę nie była strachem przed wrogiem czy bitwą, była to troska o honor Warszawy. Nie bała się Warszawa bomb samolotów czy ognia artylerii, obawiała się poddania bez walki. Gdy więc wojsko nieprzyjacielskie zbliżało się pod mury miasta, prezydent Stolicy Stefan Starzyński wezwał Warszawę do zbrojnego oporu. Do walki z najazdem rzuciła wezwanie i reprezentująca warszawski świat pracy Polska Partia Socjalistyczna, z której ramienia kierownictwo objął Mieczysław Niedziałkowski. Wnet powstały robotnicze bataliony dla obrony miasta, wnet cała ludność Stolicy gotowa była do najdalej idących ofiar.

Stolica wytrzymała w fatalnych warunkach trzytygodniowe oblężenie. Nie zmogły jej chmary samolotów,ni huraganowy ogień artylerii, nie odstraszyły cmentarze w parkach i na skwerach, ni gruzy wspaniałych budowli — musiała jednak walkę przerwać z powodu braku amunicji, żywności i wody.

Warszawa przerwała otwarty bój, walczyła jednak dalej ukryta w podziemiach, w myśl hasła rzuconego przez Mieczysława Niedziałkowskiego: "klasa robotnicza nie poddaje się, klasa robotnicza walczy dalej".

Groza losu Ghetta, tysiące egzekucyj, obozy koncentracyjne, łapanki i wywożenie ludności nie ugięły Warszawy. Walczyła bezustannie z podziemi, starannie przygotowując się do podjęcia na nowo otwartej walki zbrojnej.

SIERPIEŃ 1944 R.

1 sierpnia 1944 r. na ulicach Warszawy znowu pojawiły się oddziały Polskich Sił Zbrojnych — to warszawska Armia Krajowa z mocą podjęła ofiarną walkę o wyzwolenie. Pożogą wojenną zostało objęte całe miasto. Morza pożarów, gruzy umiłowanego miasta, dziesiątki tysięcy ofiar znaczą ten nadludzki poryw bohaterskiej Stolicy. Tej bezbrzeżnej ofiarności, nieziemskiemu idealizmowi i nadludzkiemu bohaterstwu Warszawy towarzyszyła długo obojętność państw, z którymi Polacy walczą ramię w ramię przeciw wspólnemu wrogowi.

I ta niezasłużona wielka krzywda nie złamała Stolicy. Warszawa wie, iż jej poświęcenie przynieść musi ostateczne zwycięstwo ideałów. Warszawa wierzy w sprawiedliwość dziejową.

EDMUND OPPMAN

Przegląd tygodniowy

DWIE BITWY WARSZAWSKIE

Toczą się obecnie dwie bitwy warszawskie, czy podwójna bitwa.

Jedna dobiega już końca siódmego tygodnia. Prowadzi ją gen. Bór na gruzach i zgliszczach stolicy, topniejącymi siłami swych żołnierzy, głodnych, bez wody, upadających ze znużenia, wciąż jeszcze niezwalczonych i niezłomnych. W ostatnim tygodniu doniosły im znowu brytyjskie samoloty z odległych baz w ciężkich warunkach atmosferycznych a nie bez ofiar, nieco amunicji i sprzętu. Od czterdziestego czwartego dnia bitwy zaczęła dochodzić pewna pomoc w zrzutach ze strony sowieckiej. Świeżo amerykańskie "latające fortece" zrzuciły w dzień znaczniejszą pomoc. Rozwinęła się akcja lotnictwa sowieckiego nad Warszawą. Okoliczności te umożliwiły bohaterskim obrońcom Warszawy przedłużenie walki.

Niemcy dokonywali przy pełnym wyzyskaniu olbrzymiej przewagi sprzętowej najwyższych wysiłków, by złamać opór polski w Śródmieściu, na Żoliborzu oraz obszarze Czerniakowa i Sielec i ostatecznie odzyskać swobodę ruchu i bezpieczeństwo komunikacji na bezpośrednim zapleczu frontu, w bezpośrednim sąsiedztwie mostów. Trzymają Powiśle i górującą nad nim krawędź wąskim pasem z wyjściami przebitymi i wypalonymi przez walczące miasto. Sytuacja ta jest nie do utrzymania z chwilą utraty przedmościa na prawym brzegu.

Tam zaś rozpaliła się druga bitwa warszawska. Niemcy trzymali zrazu dawny "*Brückenkopf Warschau*" połączony ryglową pozycją z utrzymanym dotąd Zegrzem. Natarcia sowieckie na południowe skrzydło przedmościa zepchnęły Niemców na samą Pragę, następnie zaś wojska sowieckie z udziałem polskich oddziałów armii Berlinga zdobyły Pragę. Niemcy wycofali się, jak się zdaje, pod naporem, na Modlin, mostami pontonowymi na Puszczę Kampinoską, częściowo zaś tylko przez mosty warszawskie, które przeważnie wysadzili.

Gen. Bór jest od kilku dni w kontakcie i współpracy operacyjnej z marsz. Rokossowskim i łączność taktyczna oddziałów walczących z obu stron nawiązana. Dwie bitwy warszawskie schodzą się w jedną.

Oby ten zwrotny punkt w tragicznej walce stolicy oznaczał zwrot w stosunku do tej najbardziej bohaterskiej armii świata, jaką jest nasza Armia Krajowa.

BITWA O NIEMCY ROZPOCZĘTA

Pisaliśmy w poprzednim "Przeglądzie" o zatrzymaniu się pościgu sojuszniczego za rozgromionymi Niemcami w "luce Belforckiej," na linii Mozeli, w Nadrenii na przedpolach niemieckiego "*Westwall*" /popularnie zwanego "linią Zygfryda"/ i na liniach kanałów w Belgii północnej, na pograniczu Holandii. Po kilkuset kilometrowym pościgu armie sojusznicze musiały zebrać siły i sprzęt i zapewnić dowóz przed uderzeniem na ściągnięte pośpiesznie armie niemieckie, osłaniające same granice "Reichu." Ale już zaczynała się nowa bitwa u dostępów do tej "fortecy fortec," bitwa graniczna.

Można było się liczyć z przeciągnięciem się na tygodnie działań wstępnych, mających doprowadzić do "*Westwall*" i z długotrwałym, mozolnym przełamywaniem tego głębokiego pasa potężnych fortyfikacyj. Pisaliśmy jednak na tym miejscu, że najpotężniejsze nawet pozycje ufortyfikowane czy przeszkody naturalne nie wojują same; że trzeba odpowiednio silnych armii, by ich bronić. Nasuwało się pytanie, czy Niemców stać będzie na "umeblowanie" wojskiem i sprzętem ich "Wału zachodniego." Wypadki zdają się dawać już odpowiedź. Na prawym skrzydle Francuzi i Amerykanie są pod Belfortem, w bramie między Szwajcarią a Wogezami, u progu Alzacji. Dalej na lewo wzięli Epinal, dalej opanowali Nancy i Luneville, łamiąc zacięte przeciwnatarcia, przedarli się przez Mozelę na południe i północ od Metzu, wyminęli tę starą fortecę, zdobyli Thionville, posuwają się ku Saarze.

Ale dalej na lewo przez Luksemburg i Belgię nie tylko dotarli do granic Rzeszy i do "Wału Zachodniego," ale z niewiarygodną szybkością przebili go na północ od Trewiru, w kierunku na Pruem i na południe od Akwizgranu, gdzie broni się osaczony już garnizon niemiecki i prą na Koblencie i Kolonię do Renu. "*West-Wall*," obsadzony słabo, w ostatniej chwili, nie okazał się zaporą nie do przebycia. Niemcy rzucili wszystkie odwody do przeciwnatarć i zacięte walki są w toku.

Dalej na lewo, na rubieży Belgii i Holandii, Brytyjczycy przełamali opór niemiecki nad Kanałem Alberta, wywalczyli przeprawy przez następną dużą przeszkodę — kanał Skaldy. Na tyłach walczących tu poważnych sił niemieckich wylądowała w sercu Holandii powietrzna armia sojusznicza amerykańsko-brytyjsko-polska. Należy tu oczekiwać wielkich wydarzeń.

Na skrajnym lewym skrzydle Kanadyjczycy i Polacy w trudnym, poprzecinanym terenie odcinają znaczne siły niemieckie i spychają je na dolną Skaldę i morze.

Opór Niemców, osaczonych w Brest dogorywa pod ulewą bomb. Le Havre i Boulogne wzięte. Wśrodkowej Francji kapitulowało 20.000 Niemców dawno odciętych.

Bitwa w pełnym toku. Ale już bierze obrót groźny dla Niemców, a berlińskie jej echo to niemal krzyk przerażenia.

BIJĄ SIĘ NASI

Myśl nasza w tej chwili zwraca się ku polskim wojskom spadochronowym, które po tak długim, gruntownym wyszkoleniu, długim oczekiwaniu po raz pierwszy spadły z powietrza na wroga, aby wziąć odwet za Warszawę i przyczynić się do jego ostatecznego powalenia.

O naszej dywizji pancernej głośno dziś we Francji i Belgii, niedługo Holandia cała dowie się, że wolność jej nieśli obok bratnich wojsk sprzymierzonych polscy pancerniacy Maczka, polscy spadochroniarze Sosabowskiego. Dowie się i zapamięta na zawsze.

A Francja — mocno jesteśmy o tym przekonani — nie zapomni tych żołnierzy Polski podziemnej, którzy za wolność jej zginęli z rąk katów, przechodzili przez męki więzień Gestapo, bili się w Paryżu, walczą dzisiaj tysiącami we własnych oddziałach razem z Francuską Armią Krajową. Zadzierzgają się tu w świadomości narodów węzły, trwalsze może od wszelkich traktatów.

"RES AD TRIARIOS VENIT"

"Przyszła kolej na *triariów.*" Pod tym tytułem, wziętym z łacińskiego przysłowia, omawiał świeżo sytuację wojenną gen. Dietmar, świetny niemiecki komentator radiowy. Co to byli "*triarii*"? Starzy żołnierze, stanowiący trzecią, odwodową linię starorzymskiego legionu. Przychodziła na nich kolej, gdy szyk zaczynał się łamać i gdy trzeba było w potrzebie ratować położenie — "*restituere rem.*"

W obecnym położeniu Rzeszy "*triarii*" to mają być ludzie z ostatniej mobilizacji, najostatniejszej z totalnych. Z sensu wynika, że raczej starsi. Nie tyle zaprawieni do boju weterani, ile /poza biuralistami, aktorami, muzykami, handlowcami i podobnym ludem dotąd niewojennym/ zwolniony przez opuszczanie krajów okupacyjnych personel, a zatem różne formacje etapowe, policyjne, asystencyjne, niebojowe rzuty SS, oprawcy z więzień i obozów koncentracyjnych. Nie sądzimy, by dużo tego wydobyto, gdy w samej Rzeszy Gestapo ma pełne ręce roboty, "likwidując" dziesiątki tysięcy własnych rodaków, podejrzanych o to, że mogliby być niebezpieczni w pewnych okolicznościach. Wiemy, że poza tym poszły do walki szkoły podchorążych, użyte jako piechota, bijące się oczywiście do upadłego i ginące z wątpliwym pożytkiem dla przyszłości Reichswehry, obok nich zaś bataliony karne, niewątpliwie oczekujące raczej wyzwolenia przez wzięcie do niewoli. Nad kanałem Skaldy biją się bataliony chłopięce, niemal dzieci.

Tacy to są "*triarii*" Dietmara. Ci nie odwrócą od Niemiec nieuchronnego losu.

Zapowiadał Goebbels, że każdy Niemiec ma na swoją rękę walczyć z najeźdźcą i niszczyć wszystko by w ręce Sprzymierzonych nie wpadło. Dotychczasowe doświadczenie nie wskazuje, by "*Herrenvolk*" wezwaniem tym zbytnio się przejął. Ludność niemiecka okazuje raczej potulność wobec Aliantów. Gdyby wierzyć pierwszym obserwacjom korespondentów amerykańskich, spotykali samych "dobrych Niemców." Aż przypominać trzeba było potworne rzezie, popełniane przez ten naród w całej Europie i straszliwe męczarnie, w których zginęły setki tysięcy ludzi, a których mrożące krew w żyłach dowody mnożą się i narastają codziennie. Jednakże wystąpiły już pierwsze oznaki, że za białymi flagami wywieszanymi przez Niemców mogą się czaić bojowcy ze "*Schmeisserami*" i jedno miasteczko zostało już spalone w odwecie.

Nic nie zastąpi milionów niemieckiego żołnierza, przepadłych w Rosji, Afryce, Włoszech, Francji, zniszczonych armij, zniszczonego sprzętu, zgruchotanej "*Lufwaffe*," zdruzgotanych i spalonych fabryk. Przedłużanie walki spycha tylko w tym głębszą przepaść naród niemiecki. I jest w tym jakby palec Boży, że popełnione zbrodnie nie pozwalają im tym razem wycofać się z walki z szansą jakiegoś w przyszłości odwetu; że nie widzą innego wyjścia, jak walka i ślą na zagładę ostatnie ludzkie zasoby, w tym chłopców — przyszłość narodu. I że każdy dzień trwania Niemiec zmniejsza możliwość ich podźwignięcia się w następnych pokoleniach.

EUROPA PRZECIW NIEMCOM

Przeciw Niemcom biją się dzisiaj nie tylko narody zjednoczone. Biją się ich wczorajsi sojusznicy. Włosi oddawna. Od dwóch tygodni Rumuni. Od tygodnia Bułgarzy. Od paru dni Finowie. Wojsko ich wasala słowackiego zmieniło, zdaje się, front, przechodzi do powstańców. Jedni Węgrzy z musu są jeszcze z nimi, nie znajdując niestety wyjścia. Są jeszcze państwa neutralne, ale neutralność ich sztywnieje w stosunku do Niemiec, nabiera odrazy do tego narodu splamionego zbrodniami a życzliwości do tych, co idą z Zachodu z wiarą, że walczą za wolność narodów i lepszą przyszłość świata.

Zamknięte 19 września.

TRIARIUS

Z tygodnia na tydzień

1 1 *w r z e ś n i a: Wojska amerykańskie walczą po raz pierwszy na ziemi niemieckiej w rejonie m. Trewir, koło granicy niemiecko luksemburskiej. Wojska brytyjskie wkroczyły do Holandii.*

—Wojska amerykańskie walczące na północy i południu Francji połączyły się koło Dijon.

—Polska dywizja pancerna zajęła Gandawę i posuwa się w kierunku na Antwerpię.

—W nocy z 10/11 *lotnictwo brytyjskie i polskie, działające z baz włoskich, zrzuciło broń dla Armii Krajowej w Warszawie.*

—W śródmieściu Warszawy trwają nadal walki uliczne.

—W Quebec rozpoczęła się konferencja Churchilla z Rooseveltem.

1 2 *w r z e ś n i a: W Warszawie wzmożony nacisk niemiecki od strony Wisły, szczególnie w rej. Czerniakowa.*

—Rząd R.P. stwierdził z podziękowaniem, że gen. Bór otrzymał pomoc od Brytyjczyków w postaci 100 *ton broni i sprzętu wojennego.*

—Ujawniono szczegóły dotyczące działalności Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we Francji.

—Niemcy w Hawrze poddali się.

—Ogłoszono, że Niemcy ewakuują wyspy Morza Egejskiego.

1 3 *w r z e ś n i a: W Warszawie napór Niemców na śródmieście. Odparto ataki niemieckie na Marymont. Ożywiona działalność lotnictwa sowieckiego nad Pragą. Niemcy wysadzili w powietrze Most Poniatowskiego i most kolejowy linii średnicowej.*

—Wojska sowieckie zajęły Łomżę i Krosno.

—Sprzymierzeni zajęli m. Roetgen w Niemczech oraz we Francji Thionville i Neufchâteau.

—Polska dywizja pancerna zajęła St. Nicholas, na wsch. od Gandawy.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało z baz włoskich rafinerię w Oświęcimiu i ośrodki kolejowe w Wadowicach.

1 4 *w r z e ś n i a: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie wraz z dywizją piechoty armii gen. Berlinga, sformowanej w Z.S.R.R., zajęły Pragę, przedmieście Warszawy. Wojska sowieckie zajęły Nowogród, na płn. zach. od Łomży.*

—W Warszawie Armia Krajowa odpiera z dużym wysiłkiem natarcia niemieckie. Rosjanie dokonali w nocy z 13/14 *pierwszych niedużych zrzutów żywności i amunicji na przedmieścia Warszawy.*

1 5 *w r z e ś n i a: W Warszawie nieprzyjaciel usiłował bez powodzenia uzyskać większą swobodę ruchów. A.K. poniosła straty terenowe w ruinach dzielnicy Sielce. Niemcy masowo niszczą budynki.*

—Amerykanie przerwali Linię Zygfryda na wsch. od Akwizgranu.

—Brytyjczycy uwolnili pierwsze miasto w Holandii, Maastricht.

—Sprzymierzeni przekroczyli Mozellę w kilku miejscach. Amerykanie zajęli Nancy.

—Oddziały 1. *Dywizji Pancernej przekroczyły granicę holenderską w rejonie Hulst.*

—Rozkazem Nr. 20 *Naczelny Wódz nadał polskiemu dywizjonowi bombowemu* "301," *który niósł pomoc Warszawie — imię "Obrońców Warszawy."*

—Podano szczegóły o udziale Polaków w wyzwoleniu Aix-les-Bains.

1 6 *w r z e ś n i a: Wojska amerykańskie wdzierają się do Niemiec wzdłuż całej granicy luksemburskiej i belgijskiej.*

—Zakończenie konferencji w Quebec.

—Na obszarze śródmieścia w Warszawie inicjatywa przechodzi w ręce A.K. Ożywione walki trwają w rej. ul. Książęcej i Sejmu. Warszawa otrzymuje stale zrzuty sowieckiej broni i żywności.

1 7 *w r z e ś n i a: Wojska powietrzne Sprzymierzonych wylądowały w Holandii. Wśród nich znajdują się oddziały polskich spadochroniarzy.*

—Ogłoszono, że nawiązana została współpraca operacyjna między gen. Borem a marsz. Rokossowskim, sowieckim dowódcą frontu.

—W W. Brytanii zniesiono częściowo zaciemnianie świateł.

—Armia Krajowa w Warszawie atakowała pozycje niemieckie na Powiślu, oraz prowadziła ciężkie walki na Czerniakowie przy współdziałaniu artylerii sowieckiej.

Nowości lotnicze

Ostatnie sześć miesięcy przyniosły szereg bardzo doniosłych wynalazków z dziedziny lotnictwa. Na polach bitew pojawił się nowy sprzęt, przynosząc nowe formy walki. Te sześć miesięcy, jakkolwiek historią prac i badań sięgają znacznie dalej wstecz, kiedy to w laboratoriach nowe pomysły zaczęły przyoblekać się w realne kształty, będą może kiedyś nosiły miano przełomowych w dziejach lotnictwa.

Między innymi, do rewolucyjnych wynalazków, które spowodują przewrót w pojęciach użycia samolotu, w planach organizacji obrony kraju, może nawet w pojęciach politycznych — należą bronie rakietowe, bronie dalekosiężne, samoloty bezśmigłowe oraz wynalazki z dziedziny chemii i elektrotechniki, o których jeszcze nie czas wspominać.

Szybkości, osiągalne przez samolot o napędzie rakietowym, przybliżyły się gwałtownie do szybkości krytycznej, do szybkości głosu. Gdy je przekroczą, cała aerodynamika i jej zasady nie będą już mogły znaleźć zastosowania. Standartowy dotychczas profil skrzydła będzie odrzucony, gdyż opory przy takich szybkościach muszą być inaczej pokonywane. Poza tym przekroczenie tych szybkości będzie wymagało stosowania w konstrukcji nowych materiałów, równie odpornych, wytrzymałych, jak i lekkich. Być może, że rozwiązanie tej sprawy nastąpi w drodze zastosowania nowych, jeszcze dotychczas nieznanych mas plastycznych.

W tej chwili znamy masy plastyczne jak szkło przezroczyste, do tego stopnia, że można z nich wyrabiać soczewki, nie wiele ustępujące w stopniu twardości miękiemu żelazu, doskonałe do obróbki. Znamy także inne, elastyczne, jak stal i jeszcze inne, niewrażliwe na zmiany temperatury. Nie jest tedy wykluczone, że ośrodki doświadczalne dadzą nam po wojnie taką masę, która będzie w stanie zastąpić dotychczas znane materiały, z których budujemy samoloty, a może nawet je przewyższy.

Postępy w dziedzinie telewizji pozwalają nam dzisiaj już na takie rzeczy, które nawet dla współczesnego Europejczyka zdają się stać na granicy cudów. Bądź co bądź radiolokacja była także cudem i ten cud w dużej mierze przyczynił się do zwycięstwa w Bitwie o W. Brytanię. Niemcy wówczas nie mieli radiolokacji, ani też nie przypuszczali, że ma ona zastosowanie praktyczne i to właśnie w Wielkiej Brytanii. Było to zaskoczenie na miarę strategiczną i dało w ręce Brytyjczyków taką przewagę, że wyrównywała braki liczebne RAF'u w stosunku do *Luftflotte*.

Dalekosiężne ciężkie pociski o napędzie propulsyjnym /odrzutowym/, a więc zarówno termiczno-strumieniowym, jak i rakietowym, wpłynęły w dużej mierze a w znacznie większej wpłyną jeszcze na systemy obronne całych krajów. Równocześnie lekki pocisk rakietowy tak przybrał na sile niszczącej, że w tej chwili nie ma pancerza, który by chronił przeciw tym pociskom i to zarówno okręty jak i czołgi. Równocześnie spowodowało to rewolucję w konstrukcjach fortyfikacyjnych.

Wszystko to zmieni w przyszłości oblicze wojny powietrznej i na tym tle słowa marszałka Harrisa, że: "lotnictwo bombowe w swej obecnej formie przestanie istnieć po wojnie", stają się zrozumiałe. Wpływa to, rzecz jasna, na powojenne projekty bezpieczeństwa międzynarodowego, nad którymi w tej chwili głowią się przedstawiciele mocarstw w Dumbarton Oaks pod Washingtonem. Obrady te idą po linii zapewnienia nie tylko ogólnego bezpieczeństwa, lecz stworzenia siły międzynarodowej, która potrafi reagować "radykalnie, a przede wszystkim szybko" — jak to rzekł prezydent Roosevelt. Liga Narodów nie działała szybko, orzekła konferencja w Dumbarton Oaks.

Ktoś powiedział, że lepiej zabezpiecza pokój dobry sztabowiec, niż dobry dyplomata. Może to i prawda. Lecz z tego nie wynika konieczność zastąpienia organizacji, która obejmowałaby wszystkie narody, organizacją, w której mają udział jedynie cztery, a po prawdzie tylko trzy mocarstwa . . . Wydaje się, że nawet /co prawda gdy już nic innego zrobić nie będzie można/ reorganizacja Ligii Narodów wystarczyłaby zupełnie, choćby przez dodanie tej chwalebnej, aczkolwiek powolnej i niezdecydowanej instytucji, jakichś organów wykonawczych.

Łącznie z dalszymi planami konferencji w Dumbarton Oaks, dochodzą nas plotki, że zdecydowano, iż międzynarodowa siła lotnicza nie będzie się składać wyłącznie z bombowców, lecz także z innych rodzajów broni lotniczych, a więc przede wszystkim z piechoty desantowej. Wielcy prorocy tej konferencji twierdzą, że gdy jakiś naród "wypadnie z szyn", należy interweniować desantami, a nie bombami, gdyż desant jest bardziej humanitarny. Niewątpliwie tak, tylko jak to stare polskie przysłowie mówi — na to dwu potrzeba: tego, który ląduje i tego, który by lądowaniu nie przeszkadzał . . . Nie możemy wyobrazić sobie, że gdy jakiś naród "wypadnie z szyn" /używamy określenia zrodzonego na konferencji/, to będzie on z Bożym spokojem patrzył się na to, jak go z powrotem na te szyny wstawiają—owe deesanty, niczym nie poparte . . . Przypuszczamy natomiast, że naród wykolejony, najlepiej, "wstawią na szyny" — materiały wybuchowe, użyte szybko i odpowiednio.

Wielu ludziom wydaje się, że statki lżejsze od powietrza, a więc balony i sterowce, są już obiektami wykopaliskowymi. Tymczasem wcale tak nie jest. Sterowce nie tylko nie zanikają, lecz w Ameryce n.p. rozwijają się pięknie, przy czym ilość jednostek balonowych jest bardzo duża. Coprawda, na żadnym innym kontynencie broń ta nie ma tak dobrych warunków rozwoju, jak właśnie w południowych częściach Ameryki Północnej, gdzie panują stałe pogody. Toteż tam właśnie balony-sterowce zostały użyte w walce z okrętami podwodnymi — z dużym skutkiem. Przyczynia się do tego ważny fakt, że tylko Ameryka posiada *helium.**

W chwili, gdy wojna wybuchła, amerykańska *Navy*, która szczególnie opiekowała się tą bronią, posiadała zaledwie 5 sterowców o małej, względnie średniej /do 200.000 stóp sześciennych/ kubaturze, jak typy C.1, J—4, L—1, oraz T.C. 13—14. Były te typy konstrukcji niesztywnej albo półsztywnej. Amerykańska *Navy* posiadała ponadto jeden sterowiec o dużej kubaturze /400.000 stóp sześciennych/ — K.2. Ten typ został w miarę rozwoju wypadków rozbudowany, ulepszony, stając się ojcem obecnej, sto przeszło statków powietrznych liczącej floty balonowej.

Do rozwoju floty balonowej marynarki Stanów Zjednoczonych przyczyniła się wiele prywatna inicjatywa firmy "Goodyear". Ta firma interesowała się bardzo rozwojem sterowców dla celów komunikacyjnych i posiada rekord w swym rodzaju. Do stycznia 1942 roku "Goodyear" przewiozła 405.000 pasażerów, mając za sobą 151.000 lotów, przy 93 tysiącach przelecianych godzin, bez najmniejszego wypadku. W ostatnich latach przed wojną, specjalnością "Goodyear'a" były starty z przeciążonym balonem, co ma bardzo ważne znaczenie.

Poza Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, sterowcami interesowali się Francuzi i Włosi. Wielka Brytania miała również kapitalną klasę pilotów, jednak po katastrofie swego sterowca R-101, którą opłaciła śmiercią sztabu najwybitniejszych lotników i konstruktorów, zainteresowanie sterowcami było raczej laboratoryjne.

Doświadczenie wykazało, że sterowiec, działając w sferze niedostępnej dla lotnictwa nieprzyjacielskiego, może oddać duże usługi przede wszystkim w walce z korsarstwem i okrętami podwodnymi. Po pierwsze — może lepiej, niż samoloty, eskortować konwoje, posiadając duży zasięg i nie potrzebując ciągłej zamiany. Po drugie — może swą szybkość redukować do szybkości eskortowanego konwoju. Po trzecie — może znacznie lepiej tropić korsarzy oraz okręty podwodne, niż jakikolwiek bądź inny patrolowy sprzęt morski czy powietrzny. O ile samolot nadaje się lepiej do przeprowadzania patroli ofensywnych, o tyle balon wypełnia rolę defensywną znacznie lepiej i wydatniej, niż samolot — choćby dlatego, że załoga sterowca pracuje w znacznie dogodniejszych warunkach, gwarantujących większą precyzję obserwacji.

Nowe typy balonów-sterowców nie boją się złych pogód i są w stanie stawić czoło wiatrom o wysokim milażu. W tej chwili po klasie "K", są już produkowane sterowce klasy "M", o rozbudowanej kabinie i pojemności około 600.000 stóp sześciennych. Balony klasy "M" mają znacznie większy zasięg. Niestety szczegóły techniczne tego typu nie są jeszcze opublikowane.

Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej zaprosił 50 narodów zjednoczonych i neutralnych do udziału w wielkiej międzynarodowej konferencji na temat powojennej komunikacji lotniczej. Prawdopodobnie poruszone zostaną problemy prowizorycznego ustalenia tras przelotowych, jak również udziału poszczególnych narodów w organizacji sieci.

M. J. GORDON

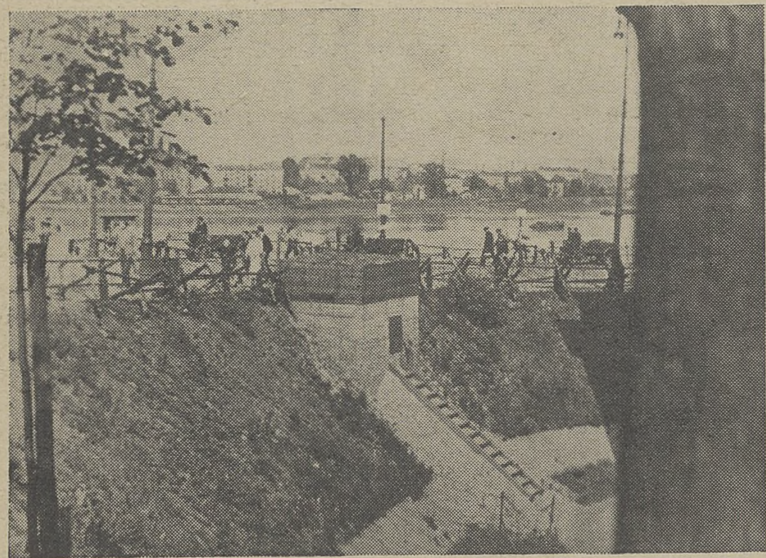
---

* *Helium*, albo *hel* — jest to gaz nietrujący, b. lekki, niezapalny, dlatego więc daleko bezpieczniejszy.

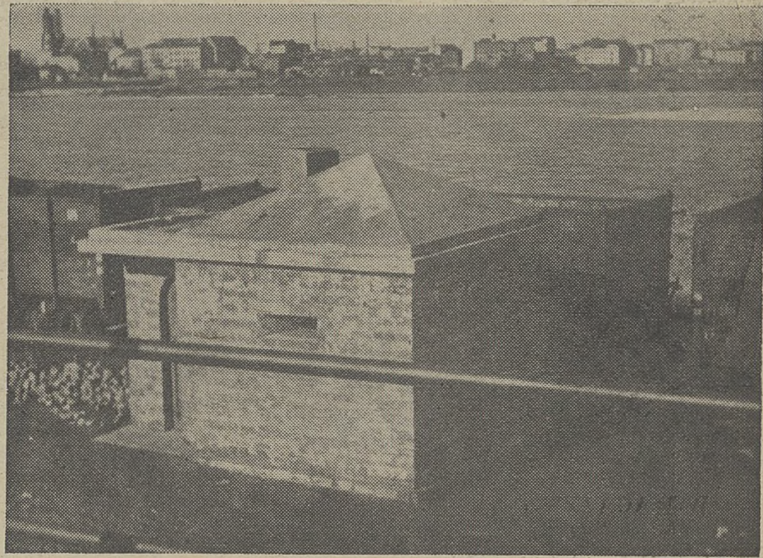
Z walk armii podziemnej

(Oryginalne reportaże nadesłane z Kraju)

"Panienka"



Umocniony punkt oporu na brzegu Wisły zbudowany przez Niemców



Bunkier z systemu obrony Warszawy. W głębi kościół św. Floriana

Wartownia *Bahnschutzu* dworca Warszawa — Towarowa. Stary, odrapany, ponury domek przy nasypie między dworcem Zachodnim i Towarowym. Z ulicy Niemcewicza, poza parkanami firm opałowych i budowlanych widać tylko pierwsze piętro. Za to z torowisk jak na dłoni: pas drutów kolczastych dokoła budynku, zakratowane okna, w środkowym z nich — lufa ciężkiego karabinu maszynowego.

Tu, w tej ufortyfikowanej ruderze, z ręki komendanta wartowni, *Bahnschutzu* Schmaltza, zginęło przeszło sto osób. Przeszło stu nędzarzy, tułających się po torach w poszukiwaniu kawałków węgla. Kobiet i dzieci często.

Schmaltz polował na ludzi, strzelał, jak do zwierząt. Schwytanych, sprowadzonych na wartownię, mordował własnoręcznie, bez przesłuchania, bez wiedzy zwierzchników. Aby cieszyć się śmiertelnym lękiem bezbronnych ofiar, aby upić się władzą życia i śmierci. Grube mury głuszyły huk strzałów.

Parę kul w łeb — cóż to za kara, cóż za odwet, wobec winy stu morderstw. Szło o unieszkodliwienie zbrodniarza, a zarazem o rzucenie skutecznego postrachu na policję kolejową. I dlatego Schmaltz musiał zginąć właśnie na wartowni, wśród swojej załogi.

Załogę stanowiło jedenastu Niemców. Z okien wartowni, trzymani w nieustannej czujności, mogli obserwować przedpole z trzech stron. Ślepa ściana szczytowa, poza pasem zasieków, dawałaby natarciu jedyną szansę. W razie szturmu — ale nie w razie oblężenia. Wartownia musiała być opanowana od jednego zamachu, od pierwszego uderzenia.

3-go marca o godzinie 11-ej rano, patrol Armii Krajowej w liczbie trzech ludzi błyskawiczną akcją opanował tereny dwu firm prywatnych, przylegające parkanami do dziedzińca wartowni. Wszyscy urzędnicy i robotnicy zgromadzeni zostali w kantorze firmy Tow. Asfaltowego, sterroryzowani i wzięci pod lufy.

Uruchomione betoniarki czyniły zgiełk ogromny. Zagłuszyły ciosy toporów wyłamujących jedno przęsło parkanu. W ten sposób siła główna natarcia w liczbie ośmiu ludzi miała drogę do szturmu otwartą.

Przez wyrwę w płocie, przez ledwie trzymające się deski, ujrzano tyły wartowni. Właśnie wzdłuż dziedzińca przeszła dziwna grupa. Dwu żołnierzy z pistoletami maszynowymi na piersiach wiodło cywila, trzymanego pięściami za kark. Od bramy wjazdowej po lewej stronie wyminęli wartownię i znikli za węgłem, zmierzając ku wejściu do dyżurki po prawej stronie budynku. Jeśli kto patrzył z okien, musiał zwrócić uwagę na tę grupę i oczekiwał jej wkroczenia do wnętrza.

O to tylko chodziło.

Pchnięte mocno przęsło parkanu odchyliło się i przez wyłom ośmiu ludzi skoczyło na dziedziniec wartowni. Na ukos. Ku ślepej ścianie. Cztery pary nożyc zazgrzytały na zasiekach. Zwisły przecięte druty kolczaste. Tuż niemal za węgłem, we frontowej ścianie było wejście główne, na parter i klatkę schodową. Tędy wtargnęło natarcie.

Ani jednego rozkazu. Każdy z góry wiedział co ma robić. Troje drzwi otwarło się w jednej chwili. Wpadli do izby na lewo. Pusta. Na stole — przy oknie — c.k.m. Nikogo. Skoczyli do następnej izby. Dyżurka.

—Ręce do góry! . . .

Schmaltz, siedzący przy biurku, twarzą do drzwi z dziedzińca, rozmawiał właśnie z żołnierzami trzymającymi cywila za kark. Jeden z jego ludzi siedział na pryczy, mając pod ręką pistolet maszynowy. Drugi stał w bocznych drzwiach na prawo. Na okrzyk, Schmaltz zerwał się z miejsca. Nim sięgnął po leżący na stole "rozpylacz", padł pierwszy strzał. Żołnierze i cywil uskoczyli w kąt i — wszyscy trzej błysnęli lufami ku *Bahnschutzom*.

Raniony w bok Schmaltz poderwał się i skoczył ku bocznym drzwiom. Zderzył się ze stojącym tu *Bahnschutzem*, zatoczył — i padli obaj rażeni gradem kul.

Zastępca dowódcy akcji, grający chwilowo rolę żołnierza niemieckiego, wpakował w łeb Schmaltza cały magazynek z *Parabellum*, z odległości dwu kroków. Panieńsko urodziwą twarz tego zbira — rozniósł po prostu kulami. Rzekomy złodziej kolejowy ubił drugiego Niemca. Trzeciego, siedzącego na pryczy i sięgającego po broń — zwalił wystrzałem z pistoletu maszynowego i dobił kulami z *Parabellum* drugi żołnierz z eskorty.

Gdy trzej Niemcy ginęli w dyżurce, dwaj inni padli w sypialni, zasypani serią z "*Thompsona*". Ostatni /bo pięciu było na obchodzie na torach/ poddał się od razu. Rozbrojony, plackiem leżąc na ziemi, dzielił los pięciu bab w kuchni i jakiegoś kolejarza niemieckiego, który w parę minut po strzałach przyszedł na wartownię od strony torów. Na piętrze nie było nikogo.

Całe natarcie i walka trwały sekundy. Wszystkie izby wartowni opanowano jednocześnie, jak jedną garścią. Huk strzałów utonął w łoskocie warczących za rozwalonym parkanem betoniarek.

Za wyłomem parkanu czekał już samochód ciężarowy. Z opanowanej wartowni wynoszono cały arsenał *Bahnschutzów*: dwa pistolety maszynowe typu "*Schmeisser*" dziesięć karabinów *Mauser,*" czternaście karabinów francuskich, naręcze broni krótkiej, skrzynki z amunicją, a wreszcie wytoczono ów c.k.m. typu "*Maxim*", z zapasem naładowanych taśm. Każdy z jedenastu uczestników po dwakroć wracał obładowany do auta. Po ośmiu minutach było już po wszystkim.

Na podłodze wartowni, tylekroć szorowanej z krwi pomordowanych bestialsko Polaków, stygły zwłoki "Panny Schmaltza" i jego czterech zbirów.

ZIK.-JAS.

Ruiny ul. Nowosenatorskiej w Warszawie. W głębi widoczna Kolumna Zygmunta sięgająca XVII-go wieku zniszczona przez Niemców w czasie ostatnich walk



Szturm na strażnicę

Jest głęboka sierpniowa noc, lecz przez zwarte zarośla młodego zagajnika czerwieni się już wschodzący księżyc, oświetla nam kręte ścieżki.

Kierunek — Arciechów k. Serocka. Zadanie — opanować nieprzyjacielską strażnicę graniczną, zdobyć broń i ekwipunek.

Wieś została z boku, głucho śpiąca w topieli mgieł. Mokre zarośla i łąki. W blasku księżyca majaczą słupy telegraficzne, wskazując drogę do strażnicy. Wysłani "druciarze" wracają wkrótce z meldunkiem: linia przerwana.

Nieprzyjaciel blisko. Już widać zarysy budynku strażnicy. Ostrożnie, chyłkiem odrywa się czołówka z dowódcą. Za nią podciągają drużyny. Na stanowiska. Rozkazy już dawno wydane. Nie pada ani słowo.

Tuż przed nami uzbrojona płotem kolczastym i zasiekami skarpa, dalej czerni się kanciasty blok strażnicy. Na dziedzińcu przyczajone sylwetki wart.

Czas. Psy obudziły się, coś węszą. Księżyc wyłania się zza drzewa. Czas.

. . . Wwach! . . . Wwach! . . . Wwach! . . . Wwach! . . . do pierwszych wybuchów granatów dołącza się natychmiast wściekły jazgot broni maszynowej. I znów granaty. W błyskach wybuchów ukazuje się coraz i ginie czarna sylwetka strażnicy. Ponad wybuchy i zgiełk broni szybkostrzelnej wybija się głośny rozkaz:

—Przerwij ogień. Szturm.

—Szturm! . . . Szturm! . . . — podchwytują strzelcy. Dowódca pierwszy wpada na dziedziniec, za nim szturmówka. Dopadają baraku, granat do wnętrza. Huk, po nim potężne echo — drugi, o wiele silniejszy i niespodziewany: to skrzynka granatów nieprzyjaciela poznała się z naszym. Lepiej nie trzeba.

Ściana wraz z narożnikiem wali się, ukazując płonące wnętrze.

—*Haende hoch*! . . . Ręce do góry! . . .

Wśród poszarpanych szczątków ludzkich w dymie i ogniu podnoszą się ręce żebrzącym gestem pokoju i błagania.

—Nie strzelać! — pada rozkaz.

Dowódca biegnie na drugi koniec baraku, gdzie jeszcze trzaskają wystrzały. Lecz wszystko nagle cichnie. Opór złamany, teren opanowany.

Ale jeszcze zapędzony szturmowiec widzi na podwórzu jakiś pagórek, ziejący czarnym otworem.

—Kto tu jest? — wrzeszczy do trzęsącego się obok w krótkiej koszulinie Niemca.

—*Keller, Keller* . . .—bełkocze.

—*Keller. Haende hoch*! . . . — krzyczy w ciemny otwór szturmowiec — wyłaź sukinsynu! . . .

Cisza. Więc wali seryjkę z pistoletu maszynowego w głąb ciemności.

—*Aber nein* . . . — woła Niemiec — *da sind Kartoffeln* . . .

W świetle płonącego baraku rośnie duży stos: broń, amunicja, granaty, wszelki ekwipunek — zdobycz wojenna. Obok pracuje punkt opatrunkowy, ale pacjenci — tylko Niemcy. Chłopcy jeszcze nie zauważyli swoich zadraśnięć.

Odwrót. Zdobycz tylko rozdzielona do transportu. Oddział staje w kolumnie marszowej. Nikogo nie brakuje.

Pożar ogarnął już całą strażnicę. Świeci jak pochodnia. Załoga — dwunastu żandarmów — wybita i unieszkodliwiona.

Może łuna zwabi jeszcze jakiś większy patrol żandarmerii — wzdycha ktoś w szeregu. — Jak długo to trwało? Z pięć minut? Nie do wiary. Pięćdziesiąt minut? . . .

Marsz. Radosny ciężar broni. Jest czym walczyć. Jest czym szukać odwetu.

ARK.-JAS.

Stanowisko ogniowe



Walka w lesie



OCEAN-PUSTYNIA-DŻUNGLA Cz. I.: Ocean

rys. *JANINA KONARSKA*

W MAGAZYNIE W MONTREALU

Sprzedający nie zrozumiał lub udał, że nie zrozumiał pytania. George powtórzył więc raz jeszcze:

—Czy możesz mi dać kompletny tropikalny *outfit*, na moją miarę?

Kupiec spojrzał na George'a, jak na wariata i obiecawszy wrócić za chwilę znikł w głębi eleganckiego magazynu mundurów wojskowych, położonego przy jednej z głównych ulic Montreal'u. Czekając na powrót sprzedającego, George zbliżył się do wielkich okien wystawowych, zawalonych futrami, ciepłymi, futrem podbitymi kamizelkami, wełnianymi szalami, futrzanymi czapkami i grubymi rękawicami. Za oknem szalała marcowa zawieja i gęste kłęby śniegu wirowały po pustych ulicach. Silny, trzydziestoparostopniowy mróz oczyścił miasto z codziennego tłumu i tylko ci, co naprawdę musieli opuścić swe ciepłe, zaciszne domy, przebiegali szybkim krokiem opustoszałe ulice. Na tle tego zimowego krajobrazu, George uświadomił sobie całą groteskowość, rzuconego przed chwilą, pytania i nie czuł się urażony, gdy zauważył po chwili, że sprzedający powraca w towarzystwie głównego *manager'a* oraz, że obaj patrzą nań jak na wariata. *Manager,* typowy okaz francuskiego Kanadyjczyka, ozdobiwszy swoją twarz w układny i obłudny uśmiech, skłonił się przed George'em:

—Przepraszam Pana bardzo, ale mój asystent nie zrozumiał Szanownego Pana, czy może włada Pan językiem francuskim?

—*J'ai oublié mon français, mais vous parlez aussi anglais? Je préfère parler anglais*—George zmobilizował pośpiesznie resztki swej, dawno zapomnianej, kiszyniowsko-podolskiej francuszczyzny.

Układny *manager* — tym razem już po angielsku zapytał, czym może służyć. George wyjaśnił, że chce zakupić komplet tropikalnego munduru wraz ze wszystkimi, potrzebnymi doń akcesoriami, jak hełm, moskitiery i t.p., a widząc na twarzy sprzedającego wyraźny uśmiech w stronę *manager'a* — uśmiech, zdający się mówić: a co? mówiłem, wariat, jakiś spokojny okaz wariata — George pośpieszył z wyjaśnieniem:

—Za parę dni udaję się do tropików, muszę mieć ekwipunek skompletowany przed sobotą.

Manager spojrzał w stronę sprzedawcy, wyrażając mu niezadowolenie i naganę: co siejesz panikę, nie wariat, a zwyczajny klient, zaraz go tu sam odpowiednio ostrzygę, gdy już tu jestem, ty możesz odejść. Sprzedawca pod karcącym wzrokiem wycofał się za ladę, a sam *manager,* w układnych lansadach sprowadzał George'a po wysłanych dywanami schodach do położonych niżej części magazynu, tłumacząc się gorliwie:

—Towary niesezonowe zazwyczaj trzymamy tutaj. Świetnie Pan zrobił zwracając się do naszej firmy, od kilku już lat specjalizujemy się w dostarczaniu naszym kochanym, dzielnym chłopcom "z trzech służb" wszystkiego, co im może być potrzebne.

George, z właściwą sobie dziecięcą szczerością chciał właśnie wyznać, że tylko brak czasu zmusza go do zwrócenia się do tak znanych zdzierców, jak firma Fox & Fox, ale w porę pohamował niewczesny przypływ szczerości. *Manager,* upojony nadzieją poważniejszej transakcji już go zasypywał stosami *short'ów,* koszulek, tropikalnych kurtek, już przymierzał mu tropikalny hełm i namawiał na zakup zapasowej pary moskitierów.

NA ODPRAWIE

Zaledwie George zdążył wejść do *briefing room'u* i zająć miejsce przy swej załodze w wypełnionej po brzegi sali, weszli kierujący odprawą oficerowie: nawigacyjny, sygnałowy i administracyjny. *Briefing* odbywał się kolejno dla różnych tras lotów. Nazwy dalekich, egzotycznych miast spływały z ust oficera nawigacyjnego, a długa pałeczka, którą wskazywał omawiane trasy, błądziła po wszystkich, najbardziej zakazanych kątach świata. Załogi samolotów . . . śledziły, jak pałeczka opuszcza się z mroźnej, śniegami zawianej Kanady, ku słonecznej Florydzie, przeskakuje stamtąd na wyśnione wyspy Bahamskie, łańcuchem wysepek opuszcza się wzdłuż legendarnego, stanowiącego postrach dawnych żeglarzy — Sargasso Sea, gdzie pono tajemnicze, z morza wypływające wodorosty otaczały okręty żaglowe, oplatały je zielonymi linami pnączy i wciągały w niezgruntowane otchłanie. Potem wzdłuż brzegów południowej Ameryki, mijając ujścia olbrzymich, po dziś jeszcze nie zupełnie zbadanych rzek, Orinoko i Amazonki, poprzez straszliwe brazylijskie *"inferno verde"*, pałeczka dochodziła do ostatniego *outpost'u* Brazylii: Natal'u. Przeskoczywszy lekko przez Atlantyk, uderzała w brzeg Afryki, by poprzez 4000 mil dżungli, dotrzeć do jednego z najgorętszych punktów globu: Khartum'u.

Gdy oficer nawigacyjny skończył z jedną grupą, przechodziła ona w opiekę oficera sygnałowego, który wyjaśniał, gdzie i jakie pomoce radiowe będą dostępne, na tej długiej 16.000 mil liczącej trasie, zaś oficer nawigacyjny zwracał się do następnej grupy, składającej się z załóg samolotów . . . I znów pałeczka opadała w dół ku słonecznym stronom, tym razem ku zachodnim brzegom Ameryki, ku słonecznej ojczyźnie brzoskwiń, Kalifornii. Następnie, skacząc po odległych od siebie o tysiące mil wyspach Oceanu Spokojnego, pałeczka docierała . . . /O.K., panie cenzorze, O.K. już więcej nic nie mówię/.

Omawiając trasę grupy, która doprowadzała samoloty typu…pałeczka oficera nawigacyjnego ani na jedną chwilę nie opuszczała się w dół ku jasnym, słonecznym krainom globu. Cały czas pozostawała ponad 50 stopniem szerokości północnej, w ponurej krainie mrozów, zawiei i burz śniegowych, oblodzeń, mgieł i lęku. Ponad śnieżne pustynie Północno-Zachodniego Terytorium, ponad jeszcze bardziej groźne i nieznane pustacie gór Labradorskich, pałeczka dochodziła do najzimniejszego lotniska tej trasy do Goose Bay'u. Stamtąd przeskakiwała ku pustynnym, wiecznie spowitym w nigdy nietopniejący lód, lodowcom Grenlandii, by poprzez kręte fiordy wyjść na Północny Atlantyk. Stamtąd przeskakiwała ku pustynku cieplejszej już, lecz za to okrywającej się często gęstymi mgłami, Islandii. Z Islandii już tylko niewielki skok ku zewnętrznym, Zachodnim Hebrydom i ku celowi lotu: Szkocji.

—"Teraz uważaj George, nasza trasa idzie" — rzekł Julek zapalając swego ulubionego "Camel'a". Pałeczka oficera nawigacyjnego przemknęła szybko poprzez prowincję Quebec i Nowy Brunswick ku Nowej Fundlandii. Chwilę zatrzymała się u jej poszarpanych, wschodnio-południowych brzegów i opadła szerokim łukiem ku południowi, uderzając o jedną z Wysp Azorskich. Wyspa była tak niewielkich rozmiarów, wydawała się tak zagubiona wśród bezmiarów oceanicznych pustkowi, że George pochylił się do Julka.

—"Czy potrafisz wylądować na takiej małej wyspie?" — w głosie jego przebijał wyraźny niepokój.

—"Już jakoś wyląduję, tylko żebyś Ty ją odnalazł, bo to naprawdę jakiś niezbyt wielki kawałeczek "mamy ziemi".

Ale już magiczna pałeczka oderwała się od Azorów i sunęła ku Afryce. Przecięła jednym rzutem, całą, tysiące mil liczącą, Afrykę Północną i zatrzymała się u błękitnej kreseczki Nilu. Spoczęła chwilę na punkciku z napisem Cairo i pomknęła znów, poprzez Palestynę, ku dalszym niebieskim kreskom z napisem Tygrys i Eufrat. Chwilę znów spoczęła przy kółeczku: Habbaniya i zaczęła się opuszczać w dół, ku południowi, ku Zatoce Perskiej.

W miarę jak pałeczka coraz dalej dążyła na wschód, w sercu George'a rósł niepokój i trwoga. "Mocny Boże" — myślał — "alem się "namotał" na przygodę. I trzeba mi to było? Nie lepiej to by było siedzieć w zacisznym Blackpool'u i przeglądać urzędowe papierki? I awans by już na pewno do tego czasu dali, i dziewczynka by się jakaś trafiła; a już przede wszystkim nie musiałbym nawigować po tych pogańskich krajach, gdzie jeszcze żaden z moich przodków na pewno nie bywał. Na Azory, to zapewne trafię, pradziadek przecież był aż na San Domingo, Afryka, też jeszcze ujdzie, miało się stryjka w Legii Cudzoziemskiej—ale co ja będę robił w Bagdadzie? Po co mi się pchać w niepodległy Oman i jak się te wszystkie diabły wabią? Co ja będę szukał w Manipurze? Nigdy jeszcze mi żaden Japończyk krzywdy nie zrobił. Nawet ich kiedyś bardzo lubiłem".

Pałeczka zatrzymała się na kółeczku noszącym nazwę Manipur i już tak pozostała. Tu kończył się świat — i tu kończyła się odprawa. Do oficera sygnałowego George nie miał żadnych interesów. To już Tadek będzie sobie zapisywał znaki wywoławcze i długości fal tych wszystkich radiostacji, które napotkają na trasie liczącej 17.000 mil.

PIERWSZY ETAP

Montreal odpływa w dal. Już tylko widać gorejącą nad miastem kopułę katedry i małe mury nowego uniwersytetu. Za kilka chwil rozpływają się i one w ogarniającej wszystko bieli. Przez pierwszych kilkanaście minut lotu, rzeka świętego Wawrzyńca płynie równolegle do kursu i jej szeroka, granatowa wstęga jest jedyną plamą wśród pochłaniającej wszystko bieli śniegów. Potem rzeka odchodzi ku północy i samolot niesie się nad śnieżną pustynią. Ta część trasy jest wspaniale zorganizowana i co parę chwil Tadek podaje George'owi namiary licznych radiostacji. Powoli upływają minuty, łączą się w kwadranse, kwadranse w godziny. Na bieli merkatorskiej karty coraz bardziej ku wschodowi znaczą się krzyżyki *"fix'ów"*, które oznaczają posuwanie się samolotu.

Miarowo, równo grają motory, z jednostajnym, monotonnym szumem kręcą się śmigła nawijając na swe potężne piasty w dziesiątki i setki liczącą się nić przebytych mil. Opada poziom paliwa w zbiornikach i opada poziom kawy w termosie. To jest zupełnie naturalne — jak i zupełnie naturalne jest opadanie termometru zewnętrznego. W kabinie nawigatora jest co raz mroźniej i George wkłada na siebie wszystkie ciepłe swetry, kurtki i kożuszki, otula się nadto w *Mae West'kę* i zastanawia się, czy uprząż spadochronowa też nie stanowiłaby ochrony przed wciskającymi się wszędzie mackami mrozu. Ogrzewanie, jak zwykle, nie działa. Zresztą samolot jest przeznaczony do działań w tropikalnej Burmie, więc któżby się w *Maintenance Unit* martwił, czy ogrzewanie działa.

Pod koniec trzeciej godziny lotu samolot wychodzi nad morze. George wie, że są już nad morzem, gdyż tak mówią mu namiary radiowe i tak wskazuje wykreślona na merkatorskiej karcie pozycja. Ale tam, w dole, nie zmieniło się nic. Była i jest, niezmienna, biała pustynia. Zatoka św. Wawrzyńca, oddzielająca Nową Fundlandię od Kanady, jest o tej porze roku zamarznięta i zawiana śniegami, tak samo dokładnie i bez reszty, jak Quebec, Nowy Brunswick, Wyspy Księcia Edwarda i Wyspy Piękne, które nazwę swą musiały chyba otrzymać od człowieka posiadającego wysoko rozwinięty zmysł gryzącej ironii.

Samolot leci nad zamarzniętą zatoką, w śnieżnej, pustej krainie, w bezludnych obszarach "białej śmierci". George przestawia swój *inter-comm* tak, by mógł słuchać pracującego Tadka. Te cichutkie, ledwie dosłyszalne tony kresek i kropek, to cichuteńkie da-di-dada da-di-di-di da-da-di-da są obecnie jedyną nitką, wiążącą ich ze światem. Są jedynym łącznikiem pomiędzy ich samotnym samolotem a światem zorganizowanych lotnisk, gwarnych stacji, wesołych mess i ciepłych baraków. Wokół tylko biała pustynia.

Pod koniec czwartej godziny lotu linia horyzontu zaczyna łamać się w kontury dalekich, sinych tą dalą gór. To Nowa Fundlandia. Zbocza wysokich, skalistych gór są zbyt strome, by mógł się na nich utrzymać lód lub śnieg. Więc na białym tle odbijają się ich ciemne, prostopadłe prawie ściany, rzucając na tę białą krainę charakterystyczne cienie, niedające się z niczym porównać. Samolot leci nad pokrytą lasami, poprzecinaną przez setki rzeczułek, górzystą Nową Fundlandią, ku jej brzegom wschodnim, pełnym zatok, *creek'ów* i jezior drzemiących wśród wzgórz.

W miarę zbliżania się, sygnały stają się z każdą chwilą głośniejsze, aż zaczynają być tak głośne, że George wyłącza się z podsłuchu. Długie jezioro, którego śniegiem pokryta powierzchnia, odznacza się wśród otaczających zewsząd lasów zwiastuje, że lotnisko jest już tylko o kilka mil. Już widać wznoszące się prostopadle w niebo dymy i wielkie "x" wysypanych piaskiem *runway'ów.* Julek okrąża lotnisko, a Tadek prowadzi rozmowy z kierującą ruchem lotniskowym wieżą. Otrzymawszy zezwolenie lądowania, mówi:

—"Julek, możesz lądować, *runway* numer dwa".

Julek odchodzi od lotniska, wchodzi na kierunek, opuszcza podwozie, klapy, przymyka gaz i potężna, 60.000 funtowa, masa metalu, w jego wprawnych rękach dotyka gładzi *runway'u* miękko i lekko. Potężne koła toczą się chwilę po posypanym piaskiem śniegu, wytracając rozbieg i poddając się posłusznie działaniu hamulców. Przed samolotem pojawia się, jak spod ziemi, maleńki *"jeep"* na którego tylnej ścianie widnieje napis: *Follow me!* Posłusznie, potężny *"Liberator"* kołuje za maleńkim *jeep'em* w stronę wielkich hangarów.. Za chwilę motory są już wyłączone i wielka cysterna rozpoczyna swą mozolną pracę pojenia naszego "Liberatora" paroma tysiącami galonów paliwa.

Załoga udaje się na posiłek. Gandar, jak i wszystkie prawie wielkie stacje *Transport Command*, jest zorganizowany na zasadach prawdziwie demokratycznych. Załogi, bez względu na stopień, razem spożywają posiłek, piją w tym samym barze i śpią w tych samych pokojach.

George, obserwując, jak przy sąsiednim stoliku jedzą razem: kanadyjski *Wing-commander, Flying Officer* i dwóch sierżantów — żałuje mocno, że scenki tej nie może zobaczyć pewien angielski oficer, który kiedyś, zwrócił George'owi uwagę w Oxfordskim "Randolph Hotel'u", że oficer mający Królewską komisję */commission/* nie może pić razem z sierżantem. Było to tegoż dnia, gdy ich *bloody* "Blenheim" w spotkaniu z dwoma "Junkersami 88", zapalił jednego z nich, a drugiego zmusił do ucieczki. Sierżant, z którym George tak *"un-correct and un-English,"* demokratycznie popijał, był jego strzelcem i obaj celebrowali swe pierwsze zwycięstwo. "Jakaż szkoda — myślał George — że ten stary bęcwał, nie może zobaczyć, jak powinni żyć ze sobą ludzie, którzy razem pracują".

Po posiłku udają się do meteorologów. Pogoda jest bardzo dobra i Julek postanawia dziś jeszcze startować w dalszą drogę. Tadek, który za poprzedniej swej bytności w Cairo, podbił serce jakiejś uroczej "Pestki", gorąco go popiera. George jest więc przegłosowany i idzie na parę godzin spać. Niestety, za ścianą pokoju, [illegible] obchodzi swój *"birthday"* i o spaniu mowy nie ma. Wychodzi więc na lotnisko, zobaczyć, jak *"fighting Yankees"* startują na swych "latających fortecach" do Anglii.

Zwiedziwszy kilka amerykańskich fabryk, obejrzawszy [illegible] produkcję i zapoznawszy się z amerykańską organizacją pracy, George postanowił sobie, że nic [illegible] na widok tego, co potrafią zrobić wesołe, roześmiane Yankee. Uwierzył, że ci chłopcy naprawdę: "trudne wykonują natychmiast — niemożliwe zabiera im trochę więcej czasu". Ale obserwując ten start — mimowoli zaczynał się dziwić. [illegible]

[illegible]

NAD OCEANEM WODY I CHMUR

[illegible]

nigdy przewidzieć przez meteorologów, [illegible]

[illegible]

Azory — wyspy: Fayal, Pico, Graciosa, Terceira, San Jorge i Miguel. [illegible]

George przystępuje do pracy. [illegible]

[illegible]

przecież na południe" — myśli. Zaraz skończy się piąta godzina lotu.

Gwiazdy już przebyły większą część swej nocnej drogi [illegible] Polaris. [illegible]

Szósta godzina lotu: *sight'y* na gwiazdy, obliczenia, wykreślenie *fix'ów*, kawa, papierosy. Siódma godzina lotu: *sight'y* na gwiazdy, obliczenia, wykreślenie *fix'ów*, kawa, papierosy. Ósma godzina lotu: *sight'y* na gwiazdy, obliczenia, wykreślenie *fix'ów*, kawa, papierosy. [illegible]

[illegible]

Okienka kabiny sperlają się rosą. Wysokościomierz łagodnie lecz stale wędruje w lewo: 6400 stóp — 6000 — 5600 — 4800 — 4000 — 3600 — 3200. A jeżeli dolna podstawa chmur sięga samej powierzchni morza? Samolot leci w miękkiej, puszystej wacie obłoków. Strzałka wysokościomierza już przekroczyła 2000 stóp i wciąż posuwa się w lewo. 1800 — 1700 — 1600 — 1500. Biała zasłona ani [illegible]

[illegible]

NA AZORSKIM LOTNISKU

[illegible]

nie na lądowanie:

—"Możesz lądować, Julek — mówi.

Julek znów odchodzi w morze, wychodzi starannie na kierunek. Kabina zadrgała od wstrząsu — to hydrauliczne pompy wypchnęły i zamocowały podwozie w pozycji do lądowania. "Liberator" zakołysał się, jakby zawahał, wytracając szybkość — to Julek opuścił klapy i jeszcze bardziej przymknął gaz. "Liberator" przelatuje nad linią przyboju, białe, niesione wiatrem płaty pian, wylatują prawie na wysokość przelatującej maszyny. Zbliża się linia brzegu i jednocześnie początek *runway'u.* Potężne koła niosą się na parę stóp nad jego powierzchnią, opuszczają się do stopy, półstopy, kilku cali, aż docierają do metalowej siatki, z której tu zbudowany jest *runway.* Rozlega się straszliwy pisk i zgrzyt i łomot i szczęk — poprzez pracę motorów przebija straszliwy jazgot metalowej sieci. Jest to pierwsze lądowanie George'a na takim metalowym *runway'u* i jego pierwszą myślą jest, że "Liberator" rozsypuje się i że to tarcie blach kadłuba powoduje ten piekielny jazgot.

Rozpędzone koła poddają się w końcu działaniom hamulców i szybkość opada. Jazgot cichnie. Przed samolotem znów roztacza się pofałdowana w wysokie fale powierzchnia Oceanu. "Liberator" przeszedł prawie cały *runway* i zatrzymuje się na paręset stóp przed jego końcem, za którym jest znów bezmiar wodnej pustyni.

—"Aleśmy urządzili koncert cymbałkowy, w piekle musiało być słychać" — stwierdza Julek, kołując za samochodem, który pojawił się przed samolotem, by skierować go na właściwy *dispersal point.*

Azory są cudnym archipelagiem cudnych wysp. Ale wyspa . . ., na której znajduje się lotnisko składa się tylko z trzech elementów: skał, glinki i metalowych sieci. Jeśli dodać, że deszcz pada codziennie i to przez kilka godzin dziennie — otrzymuje się pełen obraz tej wyspy. Chodzić można albo po metalowych sieciach, albo drapać się po skałach.

Biada nowicjuszowi, który zawierzy dobrodusznie wyglądającej glince. Najgorsze kałuże i bajora wojewódzkiego miasta Nowogródek są dziecięcą igraszką w porównaniu z glinką, jaka zalega nie pokryte siatką połacie wyspy. Po tańczącej, pryskającej wodą, lecz utrzymującej się na powierzchni glinki, siatce wiezie samochód załogę na śniadanie. Obsługa lotniska mieszka w namiotach rozbitych na stoku góry i na twardszym już gruncie. Ale gdy pada deszcz /a kiedy nie pada?/, strumyki wody ściekającej po zboczach, żłobią sobie w namiotach głębokie koryta i zapewniają ich mieszkańcom komfort bieżącej wody. Jest to zresztą jedyny, dostępny na wyspie . . . komfort.

Messa należy do *Transport Command* i jest demokratyczna, załogi jedzą razem i nikt nie segreguje nas na lotników pierwszej i drugiej klasy. Po spożyciu śniadania pokazują nam namiot, gdzie możemy spędzić cały dzień i ewentualnie noc. Ale pomimo zmęczenia, — od chwili opuszczenia Kanady upłynęło już pełnych 24 godzin, z czego ponad 15 godzin w powietrzu — rezygnujemy z gościnności i zaopatrzonych w bieżącą, deszczową wodę namiotów i wracamy do samolotu. Jeżeli w ciągu godziny uda nam się wystartować, dziś jeszcze, przed zachodem słońca będziemy w Rabat.

Stacja jest mieszana: amerykańsko-angielska i *ground-crew* /mechanicy/, są również pomieszani. Julek otrzymał właśnie amerykańską obsługę i zmobilizowawszy swą najlepszą angielszczyznę, stara się wytłumaczyć amerykańskiemu sierżantowi, przyczynę pośpiechu i co należy uzupełnić w samolocie. Sierżant słucha angielskiego gadania i obojętnie żuje gumę. Dopiero gdy Julek zrzuca swą futrzaną kurtkę /marcowy azorski deszcz nie jest zbyt ciepły/ i zostaje w mundurze, twarz sierżanta ożywia się:

—"Bądź spokojny, poruczniku, wszystko się zrobi na czas" — odpowiada doskonałą polszczyzną. — "Moja cała brygada, to wszystko polskie chłopaki — jest nas tu bardzo dużo Polaków".

Załogi, powietrzna i ziemna, należą do różnych armii, powietrzna nosi błękit Królewskiego Lotnictwa, ziemna, khaki koszulki Armii Amerykańskiej, ale obie rozmawiają tym samym językiem i obie dogadują się do tych samych stron, skąd pochodzą ich rodzice. Na dalekich, egzotycznych Azorach, lotnicy w angielskich i amerykańskich mundurach, przerzucają się znajomymi dźwiękami: Miechów, Przedbórz, Rzeszów, Stanisławów, Wilno.

Godzina, której potrzebują pompy wielkich samochodów — cystern, aby przepompować w zbiorniki "Liberatora" parę tysięcy galonów paliwa — upływa szybko na miłej pogawędce z amerykańskimi rodakami. Jak i wszyscy amerykańscy rodacy, tak i oni, mają szczere, gościnne, hojne serca i załoga musi się wprost bronić przed wciskanymi jej podarunkami. Sami przeglądają nasze wyekwipowanie, o ileż uboższe od wyekwipowania Armii Amerykańskiej i z miejsca uzupełniają wszelkie, według ich opinii, braki. Zaopatrzona sowicie załoga, żegna się z gościnnymi gospodarzami. I tu następuje chwila, która jest charakterystyką amerykańskiego żołnierza, która czyni go odmiennym od wszystkich żołnierzy innych armii.

—"Mówię, Wy pewno będziecie wracali przez Stany".

—"Przypuszczam, że wrócimy — przez Stany" — odpowiada George.

—"Czy mógłbyś zatelefonować do mojej matki w Buffalo? Nie mów jej gdzie jestem, tego nie wolno, widzisz, ale powiedz mojej matce, żeś mnie widział zdrowego. Matka się tak ucieszy".

Takie same prośby mają i inni i ta miłość do dalekich, pozostawionych za Oceanem matek jest charakterystyczna dla amerykańskiego żołnierza. Zawsze, ilekroć się dowie, że wracasz do Stanów, zawsze poprosi, byś pozdrowił jego matkę. Naznosi ci czekolady, papierosów, gumy do żucia, włoży ci do samolotu parę butelek Coca-Cola — i w zamian poprosi tylko o jedno. Zawsze o to samo. Czasem, rzadko, wspomni o swej siostrze — "Żebyś ją widział — to jest dopiero jagnię */kid/!"*. Jeszcze rzadziej wspomni o swej dziewczynie, która zazwyczaj jest "wspaniała */swell/.* Ale o matce powie Ci zawsze. Pokaże ci jej fotografię, wyjmie jej list.

George właśnie trzyma taki list w rękach. Ojciec Stanley'a jest Polakiem, matka Ukrainką. Stanley ukończył *"college"* i słabo już mówi językiem rodziców. Więc matka pisze doń list po angielsku, ale pisze go ruskimi literami, kirylicą. Dziwnie wyglądają te słowa: *My dear Son* — skreślone literami cerkiewnej kirylicy. Stanley się cieszy, że George umie czytać "po ruskich literach" i George musi przyrzec, że zatelefonuje do matki Stanley'a i po ukraińsku powie jej, że Stanley jest zdrów i że dobrze mu się wiedzie na wojnie.

Tacy oni są, ci amerykańscy chłopcy. Może trochę za głośni, może zbyt bezpośredni, może czasem drażni ich zwyczaj wiecznego żucia gumy, ale jeśli jakaś armia może się poszczycić, że ma żołnierza o dobrym, kochającym pełnym miłości i gotowym do ofiary sercu — to właśnie Armia Amerykańska. Przy żołnierzu amerykańskim nie możesz powiedzieć, że ci czegokolwiek brak — zaraz ci odda swoje, nawet, gdyby sam miał już pozostać bez możności kupienia sobie ofiarowanego hojnym sercem przedmiotu. A jeśli porozmawiasz z nim chwilę, zaraz ci opowie o swej matce, którą pozostawił w Stanach i za którą tęskni jego pół męskie, pół chłopięce serce.

Pożegnawszy amerykańskich przyjaciół, załoga idzie do samolotu. Julek zapuszcza motory. Wsłuchuje się w ich równą, miarową grę. Pożegnalny ukłon w stronę powiewającej ku załodze obsługi ziemnej i samolot kołuje na początek *runway'u.*

—"Możesz startować, Julek" — mówi Tadek otrzymawszy sygnał z *"tower'u"*.

—"Startuję" — odpowiada spokojny zawsze głos Julka.

Julek dodaje gazu i znów rozpętuje się piekło straszliwego jazgotu i zgrzytu metalowej siatki. Potem straszliwa kakofonia milknie. "Liberator" oderwał się od *runway'u.* Na wysokości kilkudziesięciu stóp wychodzi nad morze. Powoli nabierając statecznie wysokości, Julek okrąża lotnisko. Gdy są na wysokości 2000 stóp, George bierze do ręki mikro:

—"Julek, kurs na Rabat 125 stopni".

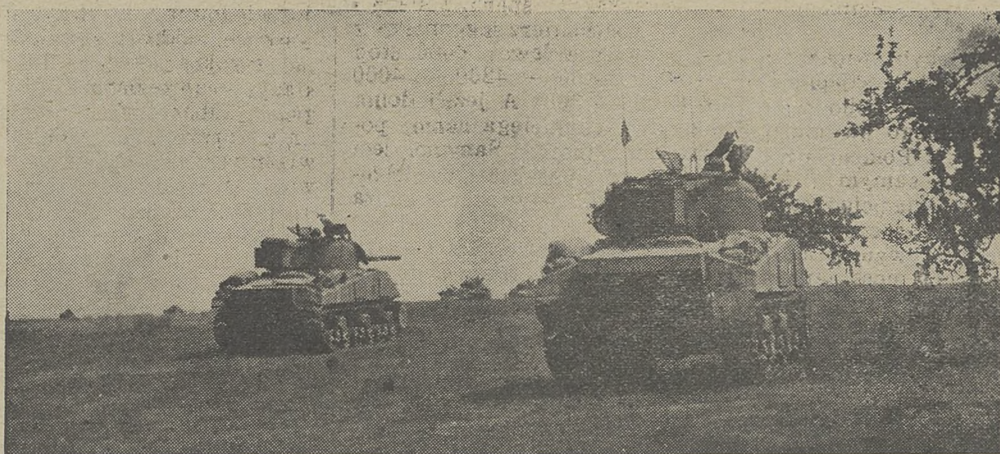
—"Steruję 125 stopni".

Wyspa skał, glinki, metalowych siatek, deszczu i chłopców o złotych sercach odpływa ku tyłowi, wkrótce znika w porannych, przymorskich tumanach białych cumulusów.

BOLESŁAW POMIAN

Walczymy o wolność Belgii

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")



Czołgi Dywizji Pancernej w akcji

Stoję na belgijskiej granicy.

Dokoła mnie cudowna zieleń pól, nade mną przepiękne niebo, pełne mocnych barw zachodzącego słońca.

Odwracam głowę na zachód. Mój Boże! Jakże daleko do Caen! Jak daleko do Falaise!

A teraz spojrzenie na wschód: Mój Boże! Jakże daleko do Wilna . . . !

Tak, myślę właśnie o Wilnie, stojąc na belgijskiej granicy. Właśnie tam, w Wilnie, w roku 1940-ym — na próżno starałem się zdobyć wizę belgijską — na próżno jeździłem do Kowna, do konsulatu belgijskiego.

A teraz jakże łatwo przekroczyłem granicę tej zakazanej dla mnie ongiś ziemi! Po prostu przejeżdża się granicę *jeepem*. Żadnej kontroli, żadnych pytań. Pusto. A w najbliższym miasteczku belgijskim na widok Polaka zerwą się radosne okrzyki. Pełno jest w *jeepie* kwiatów z Francji. Za chwilę powita nas Belgia kwiatami.

Tragiczne granice, zielone granice polskich wędrówek! Myślę o was dotykając nogą, bez żadnych obaw, belgijskiej ziemi . . .

W Ypres wygasają strzały nocnej walki. Na ulicach stłoczeni, nieprzytomni ze szczęścia ludzie. Z nad morza głów, jak małe wysepki wyglądają wieże polskich czołgów. Na tych czołgach, na działach, na karierach — dzieci i dorośli, wszyscy razem złączeni pragnieniem uściśnięcia ręki oswobodzicieli. Skąd ci ludzie nabrali tyle kwiatów? Kwiaty sypią się zewsząd. Nie słychać pojedyńczych okrzyków. Jest tylko jeden, potężny, nieustanny krzyk tłumu.

—Mer! Mer idzie!

To na chwilę odwraca uwagę od żołnierzy. Tak, idzie mer w historycznym, flamandzkim stroju. A ten żołnierz obok — to generał, polski generał, który oswobodził Ypres!

Prawo i wolność wracają do Ypres. Drzwi do tej wolności opartej na prawie otwiera generał Maczek, wprowadzając mera, byłego zakładnika Niemców, do ratusza.

W chwilę potem generał Maczek kładzie swój podpis w pamiątkowej księdze miasta. W tej samej księdze podpisał się w Ypres w roku 1918 marszałek Foch, naczelny wódz wszystkich armii sprzymierzonych.

Szybko przeszli Polacy przez Ypres. Miasto, udekorowane flagami polskimi i belgijskimi, opustoszało nagle, przypominając swoim wyglądem otwartą scenę, na której odegrany został ostatni akt historycznej sztuki. Jesteście wolni, mieszkańcy Ypres! Wzięliście wolność z rąk polskiego żołnierza jak dojrzały owoc. Żołnierz ten nie miał czasu, by dzielić z Wami waszą radość. Odszedł, by walczyć dalej. I może tylko, w jego oczach, pozostał jasny odblask Waszego szczęścia.

Pod bramą-pomnikiem, wzniesionym w Ypres ku czci poległych Brytyjczyków, przejeżdżają polskie czołgi. A dalej — ciągną się wielkie cmentarze wielkiej wojny. Tysiące krzyżów spogląda na przemarsz polskich wojsk. A więc znowu? — pytają krzyże. Znowu wracacie do nas w blasku pożarów i huku dział?

Dalej, dalej od tych cmentarzy! Niechże czym prędzej powróci na nie cisza śmierci. Niech śpią umarli, wierząc, że ich wielka ofiara i krwawy trud życia nie poszły na marne!

Hej, a nasi już pod Roulers! Jedną pozycję po drugiej, dom po domu zdobywa polska piechota. Noc rozświetlają pożary, błyszczą na niebie kolorowe różańce pocisków, jazgocze śmierć w karabinach maszynowych. Ale nasi idą. Zawzięcie, uparcie, idą naprzód!

Granatami po bunkrach! Seria w ten dom! Jeszcze skok, jeszcze dwa!

— *Kamerad*! *Kamerad*! *Stop fire*!

—Wyłazić! Ręce do góry!

Z bunkrów wyłażą chwiejący się Niemcy. Polskie bagnety, twarze czarne od dymu, oczy błyszczą walką — wyglądają groźnie. Jakiś wykończony nerwowo Niemiec pada na kolana.

— *Kamerad*! Nie zabijać, nie zabijać . . . — krzyczy.

—Wstawaj, marsz do tyłu! Wszyscy do tyłu!

Ale w centrum miasta jeszcze walka trwa. Już dudnią gąsienice karierów po bruku.

Kule świszczą wszędzie. Chwilami wydaje się, że jakiś olbrzym potrząsa całym miastem. Dźwięczą rozbite szyby, tynk opada ze ścian.

W tym piekielnym ogniu do kariera dowódcy dopada jakiś Flamandczyk. Początkowo dowódca nie rozumie o co chodzi. Ale Flamandczyk trzyma w ręku butelkę koniaku.

—Cztery lata chowałem ten koniak — krzyczy — cztery lata! Przysiągłem sobie, że go wypiję z pierwszym żołnierzem Sprzymierzonych, który wkroczy do miasta!

—Jeszcze zawcześnie, zaczekaj pan! — tłumaczy pułkownik. — Schowaj się pan do domu!

—Teraz albo nigdy! — upiera się Flamandczyk.

Na szczęście walka dobiega końca. Jest godzina trzecia w nocy. Niemcy rezygnują z dalszego oporu. Maszerują w długich kolumnach z ramionami podniesionymi do góry. Część dźwiga rannych.

Zamknięte na głucho domy otwierają się nagle. Zewsząd pędzą tłumy ludzi. Jakiś Belg otwiera restaurację, zaprasza żołnierzy.

—Wszystko bezpłatnie! — krzyczy.

Panie gotują kawę. Inne krążą wśród żołnierzy opatrując małe rany i skaleczenia. Nie ma mowy, aby zmęczony żołnierz usiadł na chwilę. Radość i gościnność Belgów nie mają granic. Wszystko dla Polaków!

Trudno jest nawet policzyć sprzęt, który Niemcy zostawili na polu walki.

Widocznie żołnierze niemieccy nie są już zdolni do najwyższego wysiłku, bo w Roulers dostały się w ręce Polaków jeszcze znaczne zapasy niemieckiej amunicji.

Jedno jest pewne:

Nareszcie, nareszcie bierzemy odwet za Wrzesień!

A oto znowu prześliczne Thilt, zdobyte 8-go września przez jeden z polskich pułków pancernych. Na ulicy gra bardzo pokojowo miejscowa orkiestra dęta, chociaż słychać jeszcze niedaleko odgłosy toczącej się walki. Ale Belgowie czują się bezpieczni. Jedynie mer, wprowadzony niedawno na swój urząd przez generała Maczka, czuje się trochę rozżalony, że generał odmawia gościny w jego domu i nie chce spędzić nocy w specjalnie przygotowanym pokoju.

—Gdzie się pan generał tak śpieszy?

—Na wojnę, na wojnę!

—A czy by tak nie można jedną noc bez pana generała . . . ?

Zakonnice miejscowego, dużego klasztoru otwierają bramy klasztorne. Po raz pierwszy chyba w dziejach tych czcigodnych murów śpi polska wiara w zakonnych celach. Mieszkanki klasztoru są niezmiernie wzruszone. Stoją z naręczami kwiatów przed bramą i skromnie spuszczając oczy, powtarzają ciągle:

—*Merci*! *Merci*!

—Panowie — przestrzega jakiś oficer. — Proszę tylko pamiętać, że to nie Saragossa!

Tak, pięknie jest w Thilt. Szkoda tylko, że nowoczesna wojna nie zna długich postojów.

Cóż to za piekielna kanonada? Co za błyski na niebie?

To polski pułk pancerny uderza na Ruysselede, zamykając drogę odwrotu kolumnie niemieckiej.

Stłoczeni w ciasnych uliczkach miasteczka Niemcy nie spodziewali się nagłego, nocnego uderzenia. Nasze czołgi runęły jak huragan. Stalowym pierścieniem zamknęły miasto i wdarły się w ulice, miażdżąc stanowiska obronne i stojące w miasteczku wozy i samochody niemieckiej kolumny. Było to kompletne zaskoczenie. Wielu Niemców nie zdołało chwycić za broń, gdy dosięgły ich polskie pociski.

Czołgi szły przez wszystko, ziejąc ogniem. Była to naprawdę piekielna noc w małym miasteczku. Bezładna strzelanina Niemców, płonące domy, oszalałe ze strachu konie z taborów, wybuchy pocisków.

Dopiero rano, w sobotę 9-go września, oglądając pobojowisko, zdałem sobie dokładnie sprawę z potęgi i skutków tego natarcia. Trupy ludzkie, setki rozbitych wozów, krwawe kadłuby koni, swąd spalenizny, amunicja, porzucona broń, hełmy, krew na ulicach — wszystko to razem składało się na widok potworny w swojej grozie.

Nawet generał Maczek spotkawszy w Ruysselede dowódcę Brygady Pancernej, pokiwał głową:

—To wygląda jak rzeźnia! — powiedział.

A siedzący przy generale pułkownik Mitchell, członek Parlamentu, zdobył się tylko na dwa słowa:

—*Well done*!

Tak, to była dobra robota. Twarda, bezwzględna, żołnierska. Drobna cząsteczka odpłaty z dużej księgi naszych rozrachunków z Niemcami.

—*Well done*!

RYSZARD KIERSNOWSKI

"Levė den Polen"

Minęły tonące w kurzu pustkowia zachodniej Normandii, wyludnione doszczętnie, ciężko okaleczone wioski i małe miasteczka w krwawym, powolnym boju zdobywane przez nasze oddziały. Minęły i ustąpiły miejsca tak odmiennej rzeczywistości, że trudno w nią było uwierzyć.

Wówczas, w upalnym sierpniu, 30 kilometrów w dwa tygodnie wydawało się nadzwyczaj szybkim postępem—dziś oddziały prą naprzód po 50 kilometrów na dobę! Dzisiaj zamiast kurzu i na pół rozwalonych, opuszczonych przez mieszkańców domostw, widzimy w północno-zachodniej Francji i Belgii roześmiane twarze witającej ludności, tłumnie zgromadzonej wzdłuż nietkniętych niemal domów, rzucającej kwiaty i owoce do wozów!

Wydaje się nam, że przeżywamy widziany rok temu film z wkroczenia Aliantów do Włoch południowych. Entuzjazm bezsprzecznie szczery i jak najgorętszy. Dziewczęta i młode kobiety klaszczą w dłonie i przesyłają pocałunki przejeżdżającym żołnierzom. Mężczyźni z roześmianymi twarzami witają nas znakiem "V" lub salutują. Entuzjazm maluje się na twarzach nawet najbardziej sędziwych staruszek, księża i zakonnice, których szczególnie wiele widzimy w Belgii, witają nas owacyjnie.

Setki mężczyzn i chłopców z opaskami i ze zdobytymi na Niemcach karabinami patroluje ulice, przeszukuje lasy i prowadzi co raz liczniejsze zastępy jeńców. To "*Resistance Francaise*" czy też "*Partisanen*" belgijscy. Niektórzy z nich zdobyli samochody lub motocykle. Również wielu żandarmów przyłączyło się do nich.

W jednym miasteczku na dzień przed przyjściem Aliantów, "*Resistance*" wraz z żandarmami zaatakowała Niemców, biorąc ich do niewoli. Na nieszczęście jakiś oddział niemiecki przeszedł przez miasteczko wieczorem i sześciu bohaterskich Francuzów rozstrzelano natychmiast. Ze zgrozą opowiadają nam o tym mieszkańcy, gdy przejeżdżamy dnia następnego. Również gwałtownie rekwirują uciekający Niemcy— konie i rowery. Gospodarz francuski, który odmówił oddania Niemcom swego konia, został zastrzelony na pół godziny przed przybyciem naszych czołgów.

Postępy nasze są tak szybkie, że wielu Niemców pozostaje w lasach w tyle i dopiero potem dostaje się do niewoli. Gdy raz przez pomyłkę w otwartym *jeepie* zapuściliśmy się do czołowych czołgów rozpoznawczych, usłyszeliśmy gęstą strzelaninę w lasku za nami, z boku drogi, a potem, wracając, przejeżdżaliśmy obok palącego się domu w miasteczku, gdzie było zupełnie spokojnie, gdy jechaliśmy przez nie do przodu. Okazało się, że Niemcy ukryci w tym budynku, zapalili go granatami.

Opór jest przeważnie słaby i akcja przypomina do złudzenia kampanię 1940 roku na zachodzie, tylko że role się zmieniły. Tłumy Niemców prowadzone co wieczora do dowództwa Dywizji, ukazują miejscowej ludności rzecz, która ją oszołamia: oto niezwyciężalna rasa panów oddaje się masowo do niewoli!

Narastają jednocześnie dla nas cenne rezerwy z wielu Ślązaków, Pomorzan i Wielkopolan przymusowo wepchniętych do niemieckiej armii na zachodzie, która przestała istnieć.

Na każdym wozie wypisują nam w miasteczkach: "*F . . . libéré*", "*C.*" *libéré*," "*Vive la Pologne*" itd. Tych napisów kredą mnoży się co raz więcej. Wśród flag alianckich powiewają flagi polskie, okrzyki "*Vive les Polonais*" są co raz częstsze. Aż wreszcie od paru dni ukazują się na naszych wozach napisy w nieznanym nikomu z nas języku flamandzkim: "*Leve den Polen*" —Niech żyje Polska!

Żołnierz polski stanął na jeszcze jednej ziemi i przyniósł wolność jednemu jeszcze narodowi Europy.

HENRYK TYSZYŃSKI

Kolumna polskich karierów przekraczająca granicę francusko-belgijską; z boku z prawej samochód sanitarny i jeep /bez korespondendenta wojennego . . ./



Sprawy polskie w książkach angielskich

CHESTERTON A POLSKA

Niedawno ukazała się obszerna książka o Chestertonie pióra Maisie Ward.* Omawia ona m. in. pamiętną wizytę znakomitego pisarza w Polsce w r. 1927 na zaproszenie warszawskiego P.E.N. Clubu. Podróż odbył Chesterton w towarzystwie swej żony Frances i sekretarki Dorothy Collins: "okazano tu niezmierny entuzjazm dla człowieka, który ustawicznie podnosił wielkość Polski i jej prawdziwe miejsce w Europie."

Chesterton zawsze pragnął napisać książkę o Polsce. Uważał, że Anglicy i Polacy mają wiele cech wspólnych, ale Anglik nigdy nie miał sposobności zrozumienia Polaka. "Nonsensy dzienników, kiedy prawią one o tym co nazywają polskim korytarzem — mówił Chesterton — wynikają z nieznajomości przedrozbiorowych dziejów Polski." Poza tym Anglicy nie zdają sobie sprawy, że Polacy zawsze muszą wybierać "pomiędzy dwojgiem złego /*the Poles always have a choice of evils*/." Piłsudski powiedział Chestertonowi, że z *dwojga złego* woli Niemcy, a Dmowski reprezentował bardziej powszechną opinię, że z *dwojga złego* lepsza jest Rosja. Tak czy inaczej, Polska—będąc panią swoich losów—przeżywała chwile niezwykłego szczęścia. Odrodzenie rolniczego kraju postępowało "zdumiewająco szybko." Licznym posiadaczom chłopskim dobrze się powodziło na 7-hektarowych gospodarstwach, a nawet robotnicy rolni mieli własne kawałki ziemi i jedną lub dwie krowy.

W liście do matki, pani Chesterton skarży się nieco na obfitość obiadu wydanego przez P.E.N. Club, ale podkreśla, że "mowy były zdumiewająco doskonałe /*perfectly marvellous*/, wygłoszone całkiem potoczną angielszczyzną i bardzo dowcipne, przy czym ujawniały taką dokładną znajomość dzieł Gilberta, jakiej nie posiada żaden z moich znajomych Anglików".

Chesterton wiele rzeczy widział w Polsce, ale najbardziej utkwił nu w pamięci epizod następujący. Pewien młody ziemianin opowiedział pisarzowi, że wprawdzie jego dom w ogniu walk został zniszczony przez żołnierzy bolszewickich, jednak żywi on do nich żal tylko za jedną rzecz:" . . . Zaprowadził nas długą aleją topolową do posągu Matki Boskiej; miała odstrzelone głowę i ręce. Ale ręce były podniesione do góry; i jest rzeczą dziwną, że wydawało się, iż to okaleczenie nadaje większy sens postawie wstawiennictwa; prośbie o litość dla bezlitosnej rasy ludzkiej".

Sympatie Chestertona dla Polski ujawniały się w całej jego działalności publicystycznej. Ujawniały się szczególnie w okresie prac nad traktatem wersalskim. Stanowisko swoje określa Chesterton jasno w liście otwartym do Rufusa Isaacsa /"*New Witness*" z dn. 13 grudnia 1918 r./, który jako delegat brytyjski miał towarzyszyć Lloyd George'owi na konferencję pokojową. Z Isaacsem zmierzył się już raz Chesterton, kiedy to organ jego brata, Cecila, pierwszy ujawnił aferę Marconiego, do której Rufus—podówczas prokurator naczelny, w okresie wojny prezes sądu najwyższego, potem wicekról Indyj—przez nabycie akcyj tego towarzystwa był zamieszany.

Mianowanie Isaacsa delegatem na konferencję pokojową—pisze biografka Chestertona—oznaczało niebezpieczeństwo dla Polski, łączyło się bowiem z dążeniem międzynarodowej finansjery do podtrzymania Niemiec. Zastanawiając się, w jaki sposób mogło się stać, że Rufus Isaacs, "zbłąkany makler giełdowy", mógł narzucić angielskiemu narodowi siebie jako najwyższego lorda sprawiedliwości, pisze Chesterton, iż nie chodzi o to, "do jakiego stopnia Pan się nam nie podoba, ale do jakiego stopnia Pan się nam podoba: albo-czy też podoba się nam Pan bardziej niż Anglia, bardziej niż Europa, bardziej niż honor, bardziej niż wolność, bardziej niż fakty". Zagadnienie, czy Anglia przegra wojnę już wygraną, wiąże się ściśle z zaspokojeniem narodowych żądań Polski. "Czy znajdzie się kto, kto ma wątpliwości, że międzynarodówka żydowska nie sympatyzuje z wszystkimi dążeniami narodowymi Polski? I czy znajdzie się kto, kto ma wątpliwości, że Pan będzie sympatyzował z międzynarodówką żydowską?" Pełen goryczy, sarkazmu i zjadliwości list kończy się wezwaniem: "Danielu, synu Izaaka, odejdź w pokoju, ale odejdź."

W tym czasie żona brata Chestertona, Cecila, który padł na polu chwały, odwiedziła Polskę i w szeregu reportaży ukazała walkę Polaków o życie i wolność. W "*New Witness*" pojawiają się artykuły publicystów polskich. W redakcji tego pisma — dodaje Maisie Ward — nie było na pewno nikogo, ktoby był takim ignorantem, jak Lloyd George, który nie wiedział, gdzie znajduje się Cieszyn. Na tym zresztą polegała tragedia Wersalu. Reprezentanci Ameryki i Anglii nie orientowali się należycie w stosunkach europejskich. Nawet Wilson był doktrynerem, który przekładał mętne koncepcje Ligi Narodów nad rzeczywiste narody, jak Polska czy Włochy. "*New Witness*" powtarza ustawicznie, że tylko od jednej rzeczy zależy stały pokój w Europie: od usunięcia Prus z ich przodowniczego stanowiska w Rzeszy — Polska, Włochy i Francja muszą być silne.

Niestety, "zarówno Lloyd George jak Wilson byli zbyt antykatolicko nastawieni, aby sympatyzować z katolicką Polską /jeśli chodzi o Lloyd George'a, trzeba mówić o *nienawiści* do Polski/"; Lloyd George działał "wściekle /*savagely*/" przeciw przyszłej Polsce. Belloc przepowiadał, że z pokoju wersalskiego zrodzi się wiele wojen. Wprawdzie Czesi dostali wszystko czego chcieli, d'Annunzio zaś zdobył dla Włoch Fiume — ale Polska nie osiągnęła swoich celów. Zawierzyła ona sprzymierzeńcom i czekała na wyniki konferencji pokojowej — w tym właśnie czasie Niemcy prześladowali i wypędzali Polaków z Prus Wschodnich. "Lloyd George i Churchill — pisze dalej autorka —wysłali korpus ekspedycyjny do Archangielska na pomoc "białym" Rosjanom, ale gdy bolszewicy najechali Polskę, nie udzielono jej poparcia. Podobnie sprzymierzeni nie zaopatrzyli Polski w przyrzeczone jej surowce, potrzebne do odbudowy życia gospodarczego. Nasze pisma ustawicznie donosiły o pogromach w Polsce. W rzeczywistości dokładne badania, przeprowadzone przez pisarzy z "*New Witness,*" nie mogły wykryć żadnych pogromów w miastach, których nazwy podawano."

W kwietniu 1919 r. Chesterton w mocnych słowach przepowiadał, jaka przyszłość czeka Europę, jeżeli odmówi się Polsce prawa do siły. Zachodowi grozi zemsta Niemiec i anarchia Rosji: jeżeli po naszej stronie nie znajdzie się chrześcijański i rycerski puklerz, jakim jest Polska, "będziemy mieli na karku pół Europy i być może, pół Azji." Jeżeli Polacy uzyskają Gdańsk i bezpieczną linię komunikacyjną z Zachodem, będą skorzy do udzielenia temu Zachodowi pomocy. Jeżeli Gdańska nie uzyskają, nie będą mieli powodu i możności udzielenia tej pomocy ani Zachodowi ani komukolwiek. Chesterton dodaje, że polski port jest jedynym miejscem na całym świecie, które powinno być utrzymane, i to właśnie miejsce zostanie poddane. Machinacje antypolskie przypisywał pisarz międzynarodowej finansjerze, twierdząc, że prawdziwie angielska opinia publiczna nie ma z tym nic wspólnego. Prawdziwa Anglia dochodziła do głosu na polach bitwy: dzięki przelanej krwi angielskiej krzyż zastąpił półksiężyc w Jerozolimie, Alzacja i Lotaryngia wróciła do Francji a Polska zmartwychwstała.

Chesterton przypomina, że Polacy powstawali raz po raz, kiedy trzy kolosalne mocarstwa nie chciały dopuścić, aby stali się oni narodem. Zdrowy rozsądek nie pozwala przypuszczać, że jeżeli uczyni się ich półnarodem, nie będą pewnego dnia próbowali stać się całym narodem. "Ale wtedy wrócimy tam skądeśmy wyszli, po nowym okresie terroru i udręki i ohydnych jatek, wrócimy tam gdzie moglibyśmy — w pokoju i całkowicie bezpieczni — stać mocno dzisiaj."

*"*Gilbert Keith Chesterton,*" *by Maisie Ward. With thirteen illustrations. Londyn, Sheed and Ward,* 1944; *str. VI i 2nl. i tabl.* 8.

O LOTNICTWIE POLSKIM

W t. II szczegółowo opracowanego dzieła kpt. Normana Macmillan o lotnictwie brytyjskim w okresie drugiej wojny światowej,* znajdujemy szereg wzmianek o lotnictwie polskim.

Kpt. Macmillan podnosi, że z całą potęgą "Luftwaffe" zmierzyło się we wrześniu 1939 r. 370 samolotów polskich pierwszej linii. W najeździe na Polskę wzięło udział 10 pancernych i 6 zmechanizowanych dywizyj, podczas gdy Polska — będąca w toku prac nad zmodernizowaniem swej armii — rozporządzała 1 brygadą pancerną i 1 zmechanizowaną.

Ale ci Polacy, którzy nie dostali się w ręce niemieckie, stanęli — pod Sikorskim — w r. 1940 u boku Anglii. Dn. 20 sierpnia 1940 r. wieczorem dywizjon 302 po raz pierwszy wszedł do akcji. Dowództwo dywizjonu sprawował Brytyjczyk, piloci rekrutowali się z Polaków. "Była to pierwsza całkowicie niebrytyjska jednostka sił powietrznych zjednoczonych narodów, której przypadło zagórować nad potęgą "osi" w powietrzu." Za zadanie miała spatrolowanie północo-wschodniego wybrzeża. Strącono wówczas "Junkersa 88," przy czym trzech członków załogi dostało się do niewoli.

W dziesięć dni później drugi dywizjon polski R.A.F.u /303/ zestrzelił pierwszego Niemca. Autor przypomina tradycje tego dywizjonu, sformowanego w r. 1919 w celu przyjścia z pomocą Polakom walczącym z bolszewikami. Nosił on wówczas nazwę dywizjonu Kościuszki. We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Warszawy. Potem lotnicy dywizjonu opuścili Polskę i walczyli — rozproszeni — we Francji. W czerwcu 1940 r. znaleźli się w Anglii. Tu dywizjon sformowano na nowo, a doświadczenie kampanii wrześniowej i świetna taktyka bojowa umożliwiły mu odegranie wielkiej roli w bitwie o Wielką Brytanię. Pierwszym dowódcą dywizjonu był R. G. Kellett; za zasługi w bitwie nad Wielką Brytanią otrzymał "Virtuti Militari," D.S.O., i D.F.C., Później dywizjon uzyskał całkowicie polskie dowództwo. Był to pierwszy dywizjon obcy wyekwipowany w "Spitfire'y."

Dn. 30 sierpnia pilot polski z dywizjonu 303 zestrzelił pierwszego "Dorniera." Następnego dnia sześciu pilotów polskich zestrzeliło sześć "Messerschmittów," nie ponosząc żadnej straty. W czasie bitwy o Wielką Brytanię dywizjon zestrzelił 120 samolotów nieprzyjacielskich. Do końca r. 1942 polscy piloci zestrzelili 501 maszyn.

Jedna siódma wszystkich strąconych w czasie bitwy o Wielką Brytanię samolotów niemieckich przypadła dywizjonom 303 i 302 oraz lotnikom polskim walczącym w dywizjonach niepolskich. "Jest to osiągnięcie — pisze kpt. Macmillan — istotnie szczególne /*remarkable*/; będzie ono zapisane w historii Polski i przejdzie do nieśmiertelności."

FRANCUZ O POLSKICH JEŃCACH WOJENNYCH

Autor książki "*A Prisoner in Germany,*"* występujący pod pseudonimem Roberta Guerlain, w czasie swojej niewoli w Niemczech miał sposobność zetknięcia się z jeńcami polskimi. Pisze o nich w słowach najwyższej życzliwości i uznania. Postawa jeńców polskich uodporniła Francuzów, którzy katastrofę roku 1940 przeżyli niezwykle tragicznie. Pierwsze spotkanie z żołnierzami polskimi w Trewirze "pokazało nam, że można być jeńcem, nie będąc jednocześnie podbitym, i że możemy podlegać Niemcom, nie dopuszczając ich do górowania nad nami. Polacy pokazali nam również, że Francja, aczkolwiek pobita, zawsze pozostanie źródłem nadziei dla innych narodów europejskich. Wiara ich w nasz kraj, przyjazna postawa, pokrzepiła nas nieco na duchu."

Także w rozmowach jeńców w obozie, optymizm Polaków dodaje wszystkim otuchy. Nauczyciel nazwiskiem Vigny, piętnując politykę Pétaina, mówi: "Czy Polacy czołgają się przed Niemcami? Czy od samego początku, choć przez jedną chwilę ukrywali przed Niemcami swoje przekonanie, że pewnego dnia warunki się odwrócą i że odzyskają to co utracili? A widzieliście, jakie nowiny otrzymują z domu! Prowadzą dalej wojnę; nikt im nie pomaga, a oni się nie poddają, bo wiedzą, że poddanie się nie wyszło by im na dobre, lecz tylko przedłuży wojnę. . . . Szwaby nie znalazły Lavala ani w Belgii, ani w Holandii, a już na pewno nie znajdą w Polsce."

Baraki polskich jeńców odznaczały się "niemal prowokującą czystością /*almost aggressive neatness*/," ożywiał je duch dobrowolnej dyscypliny; było w tym wyzwanie rzucone Niemcom a jednocześnie dążność do utrzymania poczucia godności. W barakach tych "salutowano podoficerów i śpiewano melancholijne pieśni; jak w domach prywatnych, nie wolno było wchodzić w czapce."

Guerlain mówi obszernie o transporcie trzystu kobiet wywiezionych z Polski, a trzymanych w izolowanym baraku w drodze na miejsce przeznaczenia. Zostały one porwane na chybił trafił z małego miasteczka w czasie niedzieli wielkanocnej; reprezentowały wszystkie klasy społeczne; znajdowały się wśród nich dwunastoletnie dziewczynki. Przybyły w stanie godnym litości, w śmiertelnym strachu. Pułkownika-lekarza /u Guerlaina nazywa się Kluge/, człowieka przyzwoitego, który miał poddać kobiety oględzinom, poinformowano, że z własnej woli zgłosiły się one na roboty w Niemczech. Od jednej z "ochotniczek," żony wysokiego urzędnika polskiego, pułkownik dowiedział się całej prawdy. W pierwszej chwili był tak oszołomiony, że nie mógł wypowiedzieć słowa. "Potem nagle wybuchnął w obecności lekarzy — Francuzów i kobiet — Polek. "*Schweinerei!*" — zagrzmiał. — Hańba i wstyd. I oni mówią, że przynoszą kulturę do okupowanych krajów!" Kluge powierzył dalsze badania lekarzom francuskim i udał się do komendanta obozu. Lekarze francuscy zorganizowali wśród jeńców zbiórkę żywności dla głodujących kobiet, a Kluge własnym samochodem przewiózł je do kobiecego baraku.

SCRUTATOR

*"*The Royal Air Force in the World War.*" *By Captain Norman Macmillan, M.C.A.F.C., author of* "*Into the Blue,*" "*The Chosen Instrument,*" "*Air Strategy.*" *Volume II. May,* 1940—*May,* 1941. *The Battles of Holland, Belgium, France, Britain, Londyn. George G. Harrap,* 1944; *str.* 351 *i* 1*nl. i tabl.* 8.

*"*A Prisoner in Germany.*" *A Robert Guerlain. Londyn, Macmillan,* 1944; *str. VIII i 2nl. i* 161 *i* 1*nl.*

IV. rocznica "Bitwy o W. Brytanię"

Winston Churchill powiedział u schyłku "Bitwy o W. Brytanię" w roku 1940, *że "nigdy jeszcze w dziejach wojen tak wielu ludzi nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym". Ci nieliczni, to lotnicy brytyjscy i polscy. Przede wszystkim — lotnicy myśliwscy, którzy odparli ataki lotnictwa niemieckiego, o wiele wówczas potężniejszego, niż brytyjskie.*

Przebieg tej bitwy jest zbyt dobrze znany, by powtarzać wszystkie jego szczegóły. Ograniczam się zatem do przytoczenia danych o lotnikach polskich; danych, które bądź dopiero teraz można ogłosić, bądź też takich, które nie każdy pamięta.

Jakkolwiek za dzień rozpoczęcia Bitwy o W. Brytanię przyjęto 8 *sierpnia roku* 1940, *to jednak niemieckie działania lotnicze przeciw Anglii rozpoczęły się dużo wcześniej. Dużo wcześniej także piloci polscy wzięli udział w walkach przeciw Niemcom nad W. Brytanią.*

Pierwsze zwycięstwo w tych walkach odniósł porucznik pilot A. Ostowicz, przydzielony do dywizjonu brytyjskiego. Zestrzelił on "Heinkla 111*" w dniu* 19 *lipca r.* 1940.

Inni piloci polscy przydzieleni do dywizjonów brytyjskich, a między nimi płk. Urbanowicz, późniejszy dowódca Dywizjonu 303 *— w dniu* 8 *sierpnia zestrzelili sześć maszyn niemieckich. W ciągu następnego tygodnia ci piloci zestrzelili jeszcze trzydziestu sześciu Niemców.*

Pierwsze zwycięstwa pilotów należących do dywizjonów polskich przypadają na 21 *sierpnia — porucznika Chałupy z dywizjonu Poznańskiego, i* 30 *sierpnia — porucznika Paszkiewicza z Dywizjonu* 303.

Zaraz nazajutrz, 31 *sierpnia roku* 1940, *Dywizjon* 303 *osiąga jeszcze pięć zwycięstw, a we wrześniu zdobywa rekord zestrzeleń wśród wszystkich dywizjonów polskich i brytyjskich. W jednym tylko dniu,* 27 *września* 1940 *r., dywizjon ten odniósł osiemnaście zwycięstw powietrznych.*

Ogółem we wrześniu piloci polscy zestrzelili 152 *na ogólną ilość* 962 *samolotów niemieckich zestrzelonych nad Anglią.*

Bitwa o W. Brytanię skończyła się w dniu 31 *października roku* 1940 *zwycięstwem lotnictwa brytyjskiego i polskiego. Polacy zestrzelili w czasie jej trwania* 203 *samoloty niemieckie na pewno,* 33 *prawdopodobnie i uszkodzili ponadto jeszcze* 35. *Liczby te stanowią w sumie około* 14% *wszystkich maszyn, które Niemcy stracili w tej bitwie. Jest to procent olbrzymi w stosunku do ówczesnych sił lotnictwa polskiego.*

Dziś, gdy patrzymy na wyniki "Bitwy o W. Brytanię" z perspektywy lat czterech, widać jak wielkie miała ona znaczenie, nie tylko jako zwycięska obrona ostatniej twierdzy wolności w Europie, lecz również jako pierwszy cios zadany lotnictwu niemieckiemu; cios, który zaważył na działaniach późniejszych i wpłynął na ostateczne uzyskanie moralnej i materialnej przewagi powietrznej Sprzymierzonych nad Niemcami. Udział lotnictwa polskiego w uzyskaniu tej przewagi jest równie wspaniały, jak w "Bitwie o W. Brytanię".

PORUCZNIK HERBERT

KOMUNIKAT

Ministerstwo Odbudowy Administracji Publicznej zamierza w miesiącu listopadzie br. zorganizować w Londynie 3-miesięczny kurs administracji okupacyjnej dla średnich urzędników administracji ogólnej i sekretarzy sądowych.

Kandydaci na kurs powinni mieć: a/ ukończone gimnazjum nowego typu lub wykształcenie równorzędne, b/ posiadać znajomość języka niemieckiego, c/ zobowiązać się, że przez dwa lata od chwili ukończenia wojny pozostaną w służbie okupacyjnej do dyspozycji M.O.A.P

Osoby, które pracowały już w administracji państwowej lub samorządowej mogą być w wypadkach zasługujących na uwzględnienie zwolnione od wymaganego cenzusu.

Kandydaci, pragnący wziąć udział w powyższym kursie, zechcą zgłosić się osobiście w Ministerstwie Odbudowy Admin. Publicznej, Dział Okupacyjny, Referat Administracji Ogólnej, 12/13 Grafton Street, London, W.1 lub przesłać pocztą w terminie do dnia 25 września br. krótkie podanie wraz z życiorysem oraz zobowiązaniem, o którym mowa w ustępie drugim lit.c/.

KOMUNIKAT ZRZESZENIA EWANGELIKÓW POLAKÓW

Zarząd Zrzeszenia, zdając sobie sprawę, że jeszcze duża ilość Ewangelików Polaków znajduje się poza jego szeregami, zwraca się niniejszym do wszystkich Ewangelików Polaków z prośbą o łaskawe podawanie swych adresów i zapisywanie się na członków Zrzeszenia.

Równocześnie upraszamy wszystkich Ewangelików Polaków, leżących w szpitalach, tak polskich jako też i angielskich, ażeby podawali nam miejsca swego pobytu, ponieważ chcielibyśmy zorganizować akcję odwiedzania ich i niesienia im pomocy religijnej.

Wszelką korespondencję prosimy kierować pod adresem Sekretariatu: 493, Oxford Street, London, W.1.

DLA POLAKÓW W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie RAF Maintenance Command—na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu lipcu i sierpniu 1944 r. kwotę £5 sh.9.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,

Enclosed please find M.O. for £10 which the children of the qualifying class of Dennyloan Head School, Stirlingshire, send, that it may be used in whatever way is advisable, for the Polish children. We send with it much love and sympathy and a deep interest in your country, and hope that one day very soon the silver lining may shine again in the sky for Poland and her people.

We are, with all good wishes,

Yours most sincerely,

The pupils of Primary V., and C. E Laing /Mrs./

* * *

I have much pleasure in asking you to accept this sum of £10 /ten pounds/ as a further contribution from Scottish-Polish Society, Pittenweem, towards the Polish Children's Rescue Fund.

I shall be glad to have a copy of the paper in which you insert this donation.

Yours truly,

Georgina Hughes /convener/.

* * *

Not accepted by Lulu sh. 5.

* * *

NA P.C.K.

Przy niniejszym załączam 10sh. /dziesięć szylingów/ złożonych przez nowoprzybyłego do obozu żołnierza strz. P.J. w redakcji obozowej "Nowin," z przeznaczeniem na Polski Czerwony Krzyż.

D-ca Czołówki Opieki n.Żołn. Sz. Jan ppor.

Na pomoc Warszawie

Z okazji obchodu urodzin p. Ady Hilton, zamieszkałej 27, York Str., Blackpool, przekazuję £1 /jeden funt/ na pomoc dla więzionych w obozie w Pruszkowie.

Wincenty Szajda.

* * *

Przesyłam Postal Orders na kwotę £2 19sh. 8½d. pozostałość po zamknięciu rachunku stołowni ofic. Kursu Unitarnego Sł. Zaop. i Transp. i proszę o przekazanie tej kwoty na Pomoc dla Ludności m. Warszawy.

F.N. kpt.

* * *

Załączam czek na sumę £5—z prośbą o przekazanie go na fundusz pomocy Warszawie.

S.M.

* * *

Uzyskany rabat w sumie 18sh. 8d. z rozsprzedaży na terenie Dywizjonu Ziemi Czerwieńskiej w miesiącu sierpniu Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza, Polski Walczącej oraz Skrzydeł, przekazuję Postal Orderem na pomoc Warszawie.

M.Z.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na £3 sh.6 d.5 złożone przez szeregowych Plutonu Obsługi K-dy C.W. Piech. na pomoc Warszawie.

ppor A. St.

* * *

Przesyłam w załączeniu M.O. na kwotę £3 sh.1 d.4 /£:trzy sh.1 d.4/ jako datek strzelca spad. Juliana Sim. na "Pomoc dla Warszawy."

Pchor. E.P.

* * *

Przesyłam £1 na pomoc Warszawie.

Z. Ćwiklińska.

W załączeniu przesyłam przekaz na £10 /dziesięć funtów, które złożył na pomoc Warszawie plut. Sp. Józef.

Le. Zbigniew, ppor.

* * *

Prosimy o bezimienne przekazanie naszego żołdu w wysokości £4 na pomoc obrońcom Warszawy.

Dwóch z Dywizjonu Warszawskiego.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze Ł. 31.6.1 1/2 /słownie trzydzieści jeden funtów sześć szyl. 1 1/2d/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do Ł. 248.13.11 /słownie: dwieście czterdzieści osiem funtów trzynaście szyl. 11d/.

NA "PACZKI OD SERCA"

Przesyłam w załączeniu P.O. na kwotę sh.10 /dziesięć szyl/ jako datek starszego strzelca spad. Piotra Jad. i 3 kolegów, na "Paczki od serca."

pchor. Emil P.

* * *

Załączam p.o. na sh.10 na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech—od 3. drużyny . . . Komp. szk. C.O.W. Szturm.

* * *

Messa Oficerska Polish Naval Depot B. na polskich jeńców wojennych £2 sh.16.

Ks.J.

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14. WIELKOPOLSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam postal order na sh.3 z przeznaczeniem na Fundusz dla Wdów i Sierót po poległych żołnierzach b.14 Wlkp. D.P.

Roman K. z b. 14. P.A.L.'u

* * *

W załączeniu przesyłam P.O. na sh.4 z przeznaczeniem na Fundusz dla Wdów i Sierót po poległych żołnierzach b. 14 Wlkp. D.P. wzywając tą drogą do złożenia pewnej kwoty na powyższy fundusz p. Romka Now., p. Stawarskiego /z.b. 57 pp/ i p. Dewersa /z ppanc b.57 pp/ oraz p. dr M. Win. /b. Nacz Red. Dziennika Poznańskiego/.

Witek z b. 58 pp.

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Przesyłając sh.5 na Szpital im. Gen. Sikorskiego jednocześnie zapraszam do łańcucha składek Strzeleckiego Jana, Famulskiego Ewalda i Chordeja Antoniego.

Franciszek Strauch.

NALEŻNOŚCI ŻOŁNIERZY RANNYCH W SZPITALACH BRYTYJSKICH

Ranni żołnierze /oficerowie, podoficerowie i szeregowi/ z 1. Dywizji Pancernej — należą pod względem gospodarczym do Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dywizji Pancernej /Polish Forces P/5/.

Według zarządzeń Ministra Obrony Narodowej nazwiska rannych żołnierzy przesyła Szef Służby Zdrowia do Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. Dowódca Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. wysyła do poszczególnych szpitali oficerów celem uzyskania od rannych oświadczeń co do należności i poinformowania ich w sprawie odszkodowań za straty poniesione w akcji bojowej oraz wymiany walut obcych.

Podoficerowie i szeregowcy w/g umowy polsko-brytyjskiej otrzymują od władz brytyjskich w czasie pobytu w szpitalach brytyjskich zaliczkowo na poczet swego żołdu tygodniowo:

a/ chorąży — sh.15

b/ st. sierżant i sierżant — sh.12

c/ szereg. do plutonowego włącznie sh.10.

Oficerowie należności swoje otrzymują zasadniczo z Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Pancernej — do czasu ujęcia ich w stan gospodarczy tej kadry, władze szpitali brytyjskich wypłacają im w/g zarządzenia *War Office* na poczet ich należności po £2.10.0 tygodniowo.

Wyrównanie wszelkich zaległych należności przeprowadza Kadra Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. po wyjściu żołnierza ze szpitala. Wypłata dodatków rodzinnych rannych żołnierzy nie ulega zupełnie przerwie za czas pobytu żołnierzy w szpitalach. O ile rodziny przebywają na terenie W. Brytanii dodatki te wypłaca obecnie Biuro Wypłat Należności Rodzinnych — Polish Forces P/65.

Wszelkie życzenia natury gospodarczej żołnierze kierować mogą kartką pocztową do Kadry Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. Polish Forces P/5. Wszelkie życzenia w zakresie spraw kulturalno-oświatowych należy kierować bezpośrednio do Biura Opieki nad Żołnierzem M.O.N. /London, S.W.1, Vandon Street, Vandon House/.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

ZA OSTRE TEMPO



—Niech pan, panie generale, się nie śmieje, lecz pańską dywizję muszę wycofać z frontu!

—Dlaczego???

—Regulamin mówi, że szybkość czołgów nie może przekraczać 20 mil na godzinę . . .

ZMARTWIENIE STRZELCA W LONDYNIE

—A niech licho weźmie ten pomysł ze zniesieniem blackoutu. Teraz i w nocy człowiek będzie musiał salutować! . . .

"PROJEKTODAWCA"

—Wie pan, że oddziały Maczka będą nosiły oprócz czarnego naramiennika, jeszcze naramiennik z worka!

—Co pan też plecie!

—No tak, na pamiątkę zaszycia worka w Normandii . . .

POLSKA W OCZACH ROMANTYKÓW ANGIELSKICH . . .



. . . Będziecie od morza do morza! . . .

PRAKTYCZNE POLKI

—W przyszłym tygodniu daję sobie uszyć wieczorową suknię!

—Ma pani kupony?

—Nie, tylko znoszę *black-out*, więc zrobię sobie suknię z kotary . . .

W PEWNYM HOTELU

—Zobaczy Pan, co z nami zrobią. Już rozwiązali *Home Guard*, teraz przyjdzie kolej na nas . .

W KOŁACH LONDYŃSKICH

—Wie pan, może i lepiej, że Anglicy znoszą *black-out*. Może nasze sprawy jakoś się wyjaśnia . . .

MISTRZ "TOUR DE FRANCE" . . .



RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Zagadki:

1. W miarę jak dnie stają się cieplejsze pewna pnąca roślina podwaja codziennie swój wzrost. W ciągu 20 dni wyrasta na wysokość 10 metrów. Jak długo trwało nim wyrosa na wysokość 5 metrów?

2. Trzech przyjaciół poszło razem na obiad. Rachunek wynosił 30 szylingów. Wobec tego każdy z nich wręczył kelnerowi po 10 szylingów. Właściciel restauracji zauważył jednak, że przez pomyłkę policzył o 5 szylingów za dużo, a że był Anglikiem zwrócił te 5 szylingów naszym trzem przyjaciołom. Każdy z nich wziął po szylingu a 2 szylingi dali napiwku. Gdy wyszli poczęli się zastanawiać nad rachunkiem. Każdy z nich zapłacił po 9 szylingów /10 szylingów minus 1, który otrzymali z powrotem/ a 2 szylingi dali kelnerowi. Jednak $3 \times 9 + 2 = 29$ Co się stało z 1 szylingiem?

(Odpowiedzi na końcu kącika)

W sztuce J. B. Priestleya p.t. *"How they are at home"*, wystawianej obecnie w Londynie, jest scena, w której zdenerwowany lotnik wylewa szklankę szampana ze złości na ziemię i mówi do starego służącego: — "Co ty na to?" Służący odpowiada z angielskim spokojem: — "Nic specjalnego!"

Onegdaj bomba latająca wybuchła gdzieś w pobliżu w chwili, gdy lotnik zadał to pytanie. Stary sługa głęboko odetchnął i powiedział jak zwykle: — "Nic specjalnego!"

Choć scena była poważna, tym razem widownia pokładała się ze śmiechu i brawom nie było końca.

/d/

Odpowiedzi:

1/ 19 dni, gdyż w dwudziestym dniu podwoi swój wzrost i urośnie do 10 metrów.

2/ Rachunek wynosił 25 szylingów. 25 szylingów + 2 szylingi dla kelnera = 27 a więc 9 razy 3. Suma 30 szylingów nie ma z tym nic wspólnego.

/d/

Z DWOJGA ZŁEGO . . .

W obawie przed latającymi bombami rodzice wysłali małego Stasia z Londynu do znajomej szkockiej rodziny. Po trzech dniach chłopiec wrócił do rodziców. Przywiózł też list:

—"Odsyłamy synalka, wolimy już latającą bombę" . . .

OSTROŻNY BLACK-OUTOWIEC

—Pan będzie dalej zaciemniał okna?

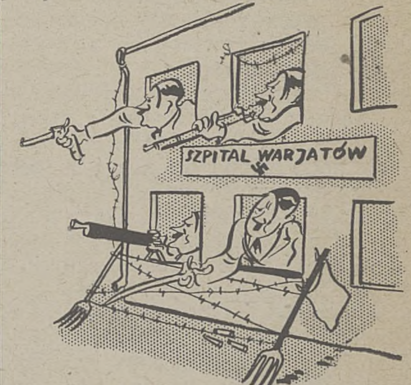
—Naturalnie! Nie mam ochoty, ażeby każdy widział, ile mam waliz . . .

WŚRÓD URZĘDNIKÓW MINISTERSTWA

—Czemu to pan kolega taki smutny?

—Urywają mi boczne dochody. Znoszą instytucję *"fire-watcher'ów"*. Zawsze odpada 5 szylingów! . . .

Z ZAPOWIEDZI HITLERA . . .



. . . "Każdy dom będzie dla nas fortecą" . . .

Tekst i rysunki: TONY

RANNI ŻOŁNIERZE

pochodzący z terenów Polonii Zagranicznej proszeni są o podawanie swoich adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.